BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN
czas 2552/1975/1-26

TRZYDZIESTOLECIE WYZWOLENIA WARSZAWY

W NUMERZE: Rozmowa z I zastępcą Prezydenta m. st. Warszawy mgr. Stanisławem Bieleckim

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 12 I 1975 Nr 1 (565) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

Warszawa. Ściana Wschodnia Fot. Z. Zagaj

POLOWANIE NA GŁUSZCE BIBLIOTECZNE

Ireneusz J. Kamiński

WŚRÓD łagodnych pagórków wieś niewielka leży. Ludzie w niej dobrzy, gospodarni, do czynu społecznego skorzy, po 40 kwintali pszenicy z hektara zbierają, a wieczorami to ich tak mocno ciągnie do świata, że nic, tylko przed telewizorami wysiadują. Nie znajdują potwierdzenia w Kanciastych ustalenia uczonych socjologów, jakoby 40 proc. ludności w Polsce nie rozumiało języka telewizji i prasy codziennej. Twierdzą oni, że po ukończeniu szkoły podstawowej leksykon obywatela zawiera zaledwie 2,5 tysiąca słów, co nie sprzyja nurkowaniu w oceanie naszej publicystyki gazetowej i wizualnej, nie mówiąc już o artykułach tygodników społeczno-kulturalnych, które żonglują nawet 12 tysiącami owych słów. Kanciaste należy do wyjątków, a do Urzędu Gminnego ma kilometrów pięć. Starzy ludzie milczą, bo mądrzy, ale młodzi mówią, że ta wyjątkowość sprzężona jest („zwrotnie") z miejscowym punktem bibliotecznym, który od lat ponad dwudziestu prowadzi Wojtkowiak, oryginał straszny, co to potomstwo wykształcił, miastu podrzucił, a ziemię nieco zaniedbawszy, w książkach utonął na amen. Takich jak on, „punktowych", jest na Lubelszczyźnie ponad dwa tysiące i oni właśnie organizują niemal 50 proc. czytelnictwa na wsi. Cztery razy w roku wymienia Wojtkowiak cały księgozbiór korzystając z pomocy bibiloteki gminnej.

Był typowy polski dzień zimowy, czyli słoneczko na nieboskłonie figlowało, a traktorzysta Władek ciągnął w gospodzie opowieść, jak to POM wyrolował na cztery kanistry ropy plus części zapasowe do młocarni. Wtedy właśnie w drzwiach chałupy bibliotecznej pojawił się młody człowiek, zwany w okolicy „Z ołówkiem w ręku", jako że wszystko pilnie przeliczał, wyważał, czasu nie marnował, siał akuratnie, nawozem sztucznym podrzucał, jałówki i sześć krów mlecznych planowo trzymał — pilnie przestrzegając instrukcji hodowlanej. Szanowano go we wsi, bo nie dość, że majętny, to jeszcze i uczynny był, radą służył, konsultacji nie odmówił. Nosił co prawda okulary, ale to głupstwo — mówili ludzie — skończy się w telewizji technikum rolnicze, widzenie ostre Jankowi wróci.

Dokończenie na str. 4—5

Dlaczego w Bychawie nie kochają inżynierów?

Jerzy Dostatni

DLACZEGO — nie umiem z całą pewnością odpowiedzieć. Mogę tylko przypuszczać, że z jednej strony nie dysponują (lub nie chcą dysponować) odpowiednimi bodźcami wobec ewentualnych kandydatów, z drugiej zaś ludzie tam zasiedziali po prostu obawiają się konkurencji. W każdym razie faktem jest, że do połowy grudnia ub. r. powiat bychawski nawet nie przejawiał ochoty na zatrudnienie bodajże jednego absolwenta naszej Wyższej Szkoły Inżynierskiej. A przecież wystarczy trochę poszperać w roczniku statystycznym, aby stwierdzić, że w powiecie bychawskim jest wszystkiego... trzech inżynierów zatrudnionych w przemyśle. I że na każdego z nich przypada produkcja wartości 70 milionów złotych rocznie, podczas gdy w Chełmie tylko 22 miliony. Budownictwo bychawskie zaś poszczycić się może — w bardzo wielkim cudzysłowie — tylko jednym jedynym inżynierem, co w gruncie rzeczy nie wystarcza nawet na obsadzenie odpowiednich stanowisk w Urzędzie Powiatowym!

Zresztą Bychawa nie była wyjątkiem. Nawet dwukrotnie większy powiat krasnostawski, w którym produkcja przemysłowa jest pięciokrotnie wyższa, też nie zgłosił żadnego zapotrzebowania na absolwentów WSI, Janów także nie. Zakłady pracy w powiatach hrubieszowskim, parczewskim, tomaszowskim i włodawskim zaś uważały, że mają tak doskonałą i wystarczającą ilościowo kadrę techniczną, iż jakby na odczepnego zgłosiły chęć zatrudnienia zaledwie po jednym inżynierze na powiat. Największy apetyt przejawił powiat puławski, przesyłając 15 zapotrzebowań (nie tylko z Zakładów Azotowych) i powiat lubelski — 14 (głównie z WSK).

Skończyło się na tym, że sam Lublin otrzymał 127 absolwentów WSI, natomiast wszystkie powiaty razem 85. W obu przypadkach zapotrzebowania zostały zaspokojone niemal idealnie w połowie, chociaż wydaje się, że stolica województwa była tu szczególnie preferowana.

Jeżeli chodzi o UMCS warto przypomnieć, że cała humanistyka (z wyjątkiem filologii obcych) oraz biologia i nauka o ziemi nie są objęte planowym zatrudnieniem absolwentów. Ale i absolwenci pozostałych kierunków nie spotykają się w tzw. terenie z entuzjastycznym oczekiwaniem. Aż się wierzyć nie chce, ale faktem jest, że powiaty bełżycki, bychawski, krasnostawski, lubelski, tomaszowski, włodawski i zamojski miały zamiar zatrudnić zaledwie po jednym absolwencie tej uczelni, podczas gdy powiat hrubieszowski siedmiu, a znacznie mniejszy lubartowski — ośmiu.

Najdziwniejsza jednak wydaje mi się sprawa absolwentów Akademii Rolniczej. Jesteśmy i będziemy województwem rolniczym, czeka nas w tej dziedzinie długa i ciężka robota, której bez udziału fachowców wykonać się nie da. Mogłoby się więc wydawać, że w tej sytuacji inżynierowie z AR będą dosłownie rozrywani. I są — ale przez inne województwa, które zaoferowały pracę aż czterystu pięćdziesięciu absolwentom tej uczelni. A na własnym podwórku? Aż wstyd ujawnić fakty, bo są chyba kompromitujące: miasto Lublin zgłosiło zapotrzebowanie na czterech, wszystkie powiaty razem na czterdziestu ośmiu! Prawda, że ostatecznie

Dokończenie na str. 5

DRODZY CZYTELNICY

MAMY już rok 1975. „Kamena" zacznie w nim czterdziesty trzeci rok swego istnienia. Pierwszy numer naszego pisma ukazał się we wrześniu 1933 roku w nakładzie 300 egzemplarzy. Jeśli napiszemy, że dzisiejszy nakład pisma wynosi ok. 30 000 egzemplarzy wiemy, że nie mamy się czym chwalić bo trudno rok 1975 porównywać z tak odległymi czasami. Ale jeśli przypomnimy, że przed dziesięcioma laty, w roku 1965, wydaliśmy pierwszy styczniowy numer w liczbie 3 000 egzemplarzy, wówczas ogarnia nas radosne wzruszenie. Dziesięć lat i dziesięciokrotny wzrost nakładu!

„Kamena" ma duże grono przyjaciół. O piśmie pamiętają i przedwojenni współpracownicy, którzy od czasu do czasu nadsyłają nam jakieś utwory literackie czy też recenzje, a niekiedy skreślają kilka serdecznych słów. Niestety, nieubłagany czas ma swoje prawa: tych najstarszych przyjaciół stale ubywa. Zyskujemy nowych; wielu spośród nich nie było na świecie w chwili narodzin pisma, a nawet w chwili wznowienia wydawania „Kameny" po wojnie, w listopadzie 1945 roku. Ostatnio zaczynają nam przysyłać wiersze do oceny nawet uczniowie i uczennice szkół podstawowych. Trudno oczekiwać, aby to były utwory dojrzałe, często nie są to nawet próby poetyckie. Zachęcamy w odpowiedziach redakcji do dalszej pracy, do nauki, do czytania wierszy dobrych poetów. Cieszą nas jednak te listy najmłodszych, pisane niewprawnie, bądź też starannie kaligrafowane. Świadczą one bowiem o tym, że „Kamena" trafia w coraz to nowe ręce, że grono jej przyjaciół stale się powiększa.

Ze szczególną radością witamy listy, w których znajdujemy zarówno uwagi krytyczne, jak i propozycje tematyczne. Pod wpływem lektury tych listów zajęliśmy się np. szerzej problematyką (tak, tak!) szachową, a w bieżącym numerze (to zasługa pewnej zasłużonej nauczycielki z Krasnegostawu) rozpoczynamy cykl artykułów związanych z przeszłością Lublina. Sądzimy że uwzględnimy również te głosy, które wypowiadają się za zwiększeniem w „Kamenie" problematyki literackiej. Nie jest to łatwe, ponieważ nie chcemy zbytnio uszczuplać publicystyki na tematy społeczne i kulturalne. Już jak wskazuje sam podtytuł pisma, obecna „Kamena" jest przede wszystkim pismem społeczno-kulturalnym. Na szesnastu stronach małego formatu trudno wszystkich zadowolić, tym bardziej, iż czasopismo ciągle wychodzi jako dwutygodnik i przy obecnych trudnościach papierowych trudno przypuszczać, aby częstotliwość jego ukazywania szybko mogła ulec korzystnej zmianie. Nie mniej prosimy wszystkich czytelników o dalszy kontakt z redakcją. Jeśli pewne życzenia czy sugestie będą się stale powtarzać, postaramy się je uwzględnić w naszej pracy.

Skład zespołu redakcyjnego znają czytelnicy z tzw. stopki redakcyjnej, zamieszczanej na przedostatniej stronie każdego numeru. Ostatnio zespół powiększył się o jedną osobę: z Zielonej Góry przeniósł się do Lublina kolega Tadeusz Jasiński, pisarz i publicysta. Pierwsze jego lubelskie materiały już drukowaliśmy.

Oczywiście stale szukamy też współpracowników z zewnątrz, cieszą nas nowe pióra, a szczególnie ciepło witamy tych, którzy w „Kamenie" zadebiutowali i później ich talent szerzej sprawdził się w innych wydawnictwach.

Nowy Rok nie wymaga od nas sprecyzowania nowego programu. Będziemy rozwijać dotychczasowe formy, choć pragnęlibyśmy rozszerzyć zakres poruszanej tematyki, a także jej wachlarz terytorialny i środowiskowy. Zamierzamy bowiem bardziej wyjść na rynek ogólnopolski, zwłaszcza, że nie wszystkie możliwości w tym względzie już wyczerpaliśmy. Wychodzimy tu z założenia, że nic, co polskie, nie może być dla nas obojętne. Jednocześnie pragniemy w większym niż dotychczas stopniu kontynuować przedwojenne tradycje „Kameny", popularyzując literaturę słowiańską, a zwłaszcza literaturę naszych bezpośrednich sąsiadów.

Rok 1975 to rok VII Zjazdu PZPR, rok obchodów trzydziestolecia zwycięstwa nad faszyzmem. Tym tematykom poświęcimy wiele uwagi, będziemy starali się, aby nasze publikacje stanowiły konkretną pomoc w pracy pedagogicznej w szkołach. Ponieważ młodzież szkolna stanowi spory krąg naszych czytelników, zastanawiamy się, w jaki sposób kontynuować dawne cykle „Przed maturą" czy też „Powtórka z polskiego". Rady nauczycieli, jak i samych uczniów przyjmiemy z prawdziwą wdzięcznością.

A co z powieścią? Nie podjęliśmy konkretnej decyzji, czy dalej mamy się bawić „Smakiem miłości i łez", czy też zaproponować coś nowego. Listy w tej sprawie — zgodnie z naszym apelem — nadchodzą, ale na ich podstawie nie jesteśmy jeszcze w stanie powziąć konkretnej decyzji. Prosimy więc o wyrozumiałość i cierpliwość. W każdym razie dalecy jesteśmy od tego, aby redagować pismo dla wąskiego kręgu czytelników. Tych czytelników (a są przecież tacy), których nam zjednał „Smak" czy żartobliwie przez nas traktowany, a zbliżający się do końca „Sennik egipski", utracić — i to jest rzecz zrozumiała — nie chcemy.

A więc — startujemy w Nowym Roku. Jeszcze raz składamy naszym czytelnikom serdeczne życzenia wszelkiej pomyślności. Myślimy, że w tym Nowym Roku wielu spośród nich poznamy osobiście, ponieważ — i to jest ostatnia sprawa, którą chcemy zasygnalizować — zamierzamy rozszerzyć spotkania członków zespołu ze społeczeństwem naszego województwa. Wszelkie inicjatywy w tym względzie już dzisiaj witamy.

w którym żyjemy

NAJLEPSZE ZE WSZYSTKIEGO

POD takim tytułem ukazała się w Londynie książka pióra Passella i Rossa. Obaj autorzy postawili sobie za zadanie sporządzenie czegoś w rodzaju encyklopedii „wszystkiego, co najlepsze". Jest więc mowa o najlepszym aparacie fotograficznym, najlepszym cygarze, najlepszej diecie, zamku do drzwi czy najlepszej... księdze biblii. Dla przykładu kilka ich ocen:

Najlepiej zdefiniowana posada w rządzie amerykańskim: asystent administracyjny asystenta administratora d/s Administracji w Agencji d/s Międzynarodowego Rozwoju.

Najlepszy przykład myśli analitycznej: „Kiedy człowiek ma wygłosić przemówienie , to pierwszą rzeczą, jaka przychodzi mu na myśl jest — o czym będę mówił?" — oświadczył Gerald Ford.

Najlepsze wyjaśnienie sytuacji gospodarczej Indii: kos, jednostka odległości w Indiach, może się różnić długością od 1 do 3 mil.

Najlepsze ostatnie słowa: Były wiceprezydent USA, Alben Barkley, przemawiając 30 kwietnia 1966 r. na uniwersytecie stanu Kentucky oświadczył: „Wolałbym raczej zasiadać u podnóża Boga, aniżeli w siedzibie władzy". Natychmiast po wypowiedzeniu tych słów upadł na ziemię i zmarł.

ARTYKUŁY, KTÓRYCH NIE PRZECZYTACIE

AMERYKAŃSKI felietonista, Art Buchwald, zamieścił pod tym tytułem felieton w „Washington Post". Autor stwierdza, iż może przewidzieć, jakich informacji nie znajdą czytelnicy na łamach prasy w 1975 roku.

TEHERAN. — Kraje-producenci ropy naftowej spotkały się tu wczoraj i ogłosiły, że obniżają cenę ropy do czterech dolarów za baryłkę. Szach Iranu oświadczył dziennikarzom: Zrobiliśmy błąd podnosząc ceny ropy, co ugodziło w gospodarkę większości krajów, z którymi mamy do czynienia. By im obecnie pomóc, obniżamy ceny do poziomu 1970 r. (...)

WASZYNGTON. — Prezydent Ford oznajmił, że podejmie stanowcze kroki, by zapobiec gospodarczemu kryzysowi Stanów Zjednoczonych. Prezydent oświadczył dziennikarzom: „Podjąłem już decyzję w sprawie wprowadzenia kontroli rządu nad życiem gospodarczym, gdyż jest to jedyny sposób, by uporać się z problemami, które przed nami stoją. Apelowanie do zdrowego rozsądku amerykańskich obywateli, to najgłupsza rzecz, którą w tej sytuacji mógłby zrobić jakikolwiek prezydent."

NOWY JORK. — Muhammad Ali przyznał wczoraj wieczorem w programie telewizyjnym, że nie jest on największym bokserem wszystkich czasów, a nawet nie największym bokserem współczesności. „Jest prawdopodobnie dziewięciu do dziesięciu bokserów wagi ciężkiej tak samo dobrych, jak ja. W ciągu mojej dotychczasowej kariery miałem, oczywiście, szczęście, ale nie to jest najważniejsze. W boksie dzieją się rzeczy niedobre jeśli ktoś za jedno spotkanie może dostać pięć milionów dolarów, tak jak mi zapłacono. Po prostu nie jestem tego wart".

WASZYNGTON. — Nelson Rockefeller zwrócił się do Bebe Rebozo z prośbą o pożyczkę na zakup domu na Florydzie. Rockefeller powiedział: „Stanąłem przed wyborem, że albo zaciągnę pożyczkę, albo sprzedam kosztowności mojej żony. Jak wszyscy wiedzą, nie jestem człowiekiem bogatym i nie przypuszczam ażebym zrobił coś złego".

GENEWA. — Cena złota spadła do 35 dolarów za uncję, gdy spekulanci zaczęli wykupywać włoskie liry i angielskie funty. Pewien bankier oświadczył: „Uważamy, że liry i funty to obecnie najmocniejsze waluty w Europie i nie będziemy zamrażać pieniędzy w złocie, którego wartość stale spada".

PRZECIW PODSŁUCHOM

W STANACH Zjednoczonych rozwija się produkcja i sprzedaż tzw. „antyszpiegów" — przyrządów do walki z podsłuchem. Aparat wydaje sygnał za każdym razem, kiedy rozmowa jest gdzieś zapisywana na taśmie magnetofonowej. Są i bardziej skomplikowane urządzenia, które pozwalają automatycznie kasować ewent. zapis. Natomiast za tysiąc dolarów można nabyć mechanizm, który umożliwia wykrycie zamaskowanych mikrofonów.

SAM NA WOJNIE

PÓŁ roku temu była głośna sprawa porucznika japońskiego Onoda Hiroo, który od zakończenia wojny ukrywał się w dżunglach wyspy Lubang na Pacyfiku. Ostatnio we Francji ukazała się książka Gerarda Chenu i Bernarda Cendron pt. „Onoda 30 lat sam na wojnie". Dziennikarzom udało się skłonić Japończyka do pewnych wyznań.

Jak twierdzi Onoda, walkę partyzancką prowadził właściwie tylko siedem miesięcy, potem musiał się zająć zdobywaniem jedzenia, odzieży i schronienia, gdyż Amerykanie co jakiś czas przeprowadzali na wyspie obławy. Kiedyś udało mu się z jakiegoś domu ukraść tranzystor. Gdy wkrótce potem usłyszał, że w Tokio odbywa się olimpiada, był przekonany, że Japonia zawojowała pół świata i że dla niego zbliża się zwycięski koniec.

Autorzy wyliczają, że nakłanianie Onody do wyjścia z dżungli kosztowało pół miliona dolarów. Władze japońskie wydrukowały i zrzuciły z samolotów na wyspę 130 tys. ulotek, w których zawiadamiały go, że wojna się skończyła i dalszy opór nie ma sensu. Wysłano do niego ekipy lekarzy, psychologów i psychoanalityków. Rozmawiał z nimi na odległość i gdy wreszcie był już skłonny skapitulować, zażądał aby odpowiedni rozkaz wydał mu oficer, który po zajęciu wyspy przez wojska amerykańskie powiedział mu: „Walcz jak partyzant, to może potrwać lata, nie kapituluj nigdy" Na szczęście oficer ów żył jeszcze, sprowadzono go i dopiero Onoda wyszedł z dżungli.

Armia japońska wypłaciła mu pełne pobory za 29 lat. Za obecność na różnych imprezach i krótkie wywiady, łącznie z wyznaniami do ostatniej książki, otrzymał około 400 tys. dolarów. Ostatnio wyemigrował do Brazylii, na małej wysepce kupił sobie farmę i żyje w osamotnieniu. Gdy go pytano, jak przez 30 lat żył bez kobiet, odpowiadał niezmiennie: „Nie miałem i nie mam czasu na głupstwa".

SZTUCZNE ZAPŁODNIENIA

JAK dotychczas, w naszym kraju urodziło się dwa tysiące dzieci dzięki sztucznemu zapłodnieniu kobiet — oświadczyło grono lekarzy we Francji, pracujących w tzw. bankach spermy. Jest ich w tym kraju już pięć, ostatni powstał w okolicach Nicei.

Jak ujawniono, spermę pobiera się od mężczyzn w wieku do 40 lat, żonatych i mających dzieci, za zgodą ich żon. Uprzednio jednak dawcy podlegają bardzo surowym badaniom — krwi, chromozomów, chorób dziedzicznych itd. Spermę przechowuje się do dziesięciu lat w płynnym azocie w temperaturze 196 stopni poniżej zera. Jeden mężczyzna może być dawcą najwyżej cztery razy, chodzi o to, aby zmniejszyć do minimum możliwość zawarcia kiedyś małżeństwa przez potomków jednego człowieka.

Kobiety poddające się sztucznemu zapłodnieniu też są dokładnie badane. Zabiegu odmawia się pannom, wdowom i rozwódkom, aby nie wywoływać komplikacji prawnych, a także wszystkim tym mężatkom, które mogą zajść w ciążę w sposób naturalny. Na dokonanie zabiegu konieczna jest zgoda małżonka. Powodzeniem kończy się, jak dotychczas, tylko połowa zabiegów.

W USA jest znacznie więcej banków spermy. Wprawdzie liczba zabiegów sztucznego zapładniania jest proporcjonalnie zbliżona do wskaźnika we Francji, jednak wielu mężczyzn dobrowolnie poddaje się sterylizacji, ale przedtem „na zapas" składa nasienie do banku. Gdy później zmienią zdanie co do bezdzietności, będą mogli mieć jeszcze własne dzieci.

TRZYDZIESTOLECIE WYZWOLENIA

WARSZAWA

Rozmowa z I Zastępcą Prezydenta m. st. Warszawy mgr. Stanisławem Bieleckim

JAKŻE mogłoby być inaczej? Zaczynamy od wspomnień: a pamiętasz, a pamiętasz? Od tych czasów minęło już ćwierć wieku, ale trudno nam przecież zapomnieć rozmów — bo to były rozmowy z młodzieżą, a nie wykłady — sędziwego Kazimierza Janczykowskiego, czy też wiele minut trwających rozważań Michała Kińczyka nie tylko na temat łaciny i starożytnego Rzymu. Długoletni nauczyciele chełmskiego Liceum i Gimnazjum im. Stefana Czarnieckiego umieli wyciągać wnioski z doświadczeń życiowych, nie zamykali się w kręgu swojej zawodowej specjalności, każda ich lekcja była zarazem lekcją patriotyzmu. I chyba nie jest zwykłym przypadkiem losu, że tylu absolwentów tej zasłużonej szkoły piastuje dziś odpowiedzialne stanowiska.

Mgr Stanisław Bielecki, historyk i dziennikarz zarazem, były pracownik „Nowych Czasów" i „Polityki", z-ca red. naczelnego „Współczesności" i „Expressu Wieczornego", były członek kolegium „Życia Partii", były kierownik Wydziału Nauki i Oświaty Komitetu Warszawskiego PZPR, odznaczony w ub. r. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, jest dzisiaj pierwszym zastępcą Prezydenta m. st. Warszawy. Nasze spotkanie wiąże się z przypadającą w drugiej połowie stycznia 30 rocznicą wyzwolenia stolicy.

Przed rozmową przejrzałem dawne dokumenty. Truizmem jest powtarzanie, że Warszawa 1945 r. była jednym wielkim cmentarzyskiem. Warto jednak przypomnieć, że w gruzach leżało ok. 74 mln m sześc. zabudowy mieszkalnej, że szkoły uległy zniszczeniu w 70 proc., szpitale — w 80 proc., sieć wodociągowa i kanalizacja — w 40 proc., gazowa — w 70 proc., a system komunikacji miejskiej — w ok. 75 proc. Przemysł warszawski niemal nie istniał zupełnie, a jego tradycyjne dla stolicy gałęzie, takie jak przemysł metalowy, elektrotechniczny i precyzyjny, zniszczone były w 80—90 proc.

Sceptycy twierdzili, że trzeba będzie 50 lat, aby Warszawa wróciła do dawnej świetności. Ba — znajdowali się i tacy, na szczęście nieliczni, którzy uważali, że stolicę Polski należałoby przenieść gdzie indziej. Nowe władze były jednak nieugięte: już 3 stycznia 1945 roku, kiedy jeszcze miasto znajdowało się w hitlerowskich rękach, Krajowa Rada Narodowa podjęła uchwałę: Warszawa będzie stolicą!

— Nie mogło być inaczej. Słowo Warszawa kojarzy się każdemu obywatelowi naszego kraju z bohaterstwem walki i pracy, ze wszystkim tym, co dla nas, Polaków, jest najdroższe. Jeśli sięgnąć w głąb historii — mówi mgr Stanisław Bielecki — widzimy, że Warszawa zawsze nadawała ton życiu całego kraju; był to ośrodek walki, ośrodek myślenia, działania patriotycznego, narodowo-wyzwoleńczego, kolebka ruchów rewolucyjnych. Tu rodziła się koncepcja utworzenia państwa polskiego o charakterze ludowym, socjalistycznym, tu powstały nasze pierwsze rewolucyjne partie robotnicze — od Wielkiego Proletariatu do PPR i PZPR. Dlatego też warszawiacy, do których i ja dziś należę, tak sobie cenią te tradycje miasta.

— Zgoda, ale, niekiedy pokutuje jeszcze dawny pogląd, że Warszawa to przede wszystkim centrum administracyjne kraju...

— Ten pogląd dawno nie znajduje odzwierciedlenia w rzeczywistości. Oczywiście stolica, każda stolica, spełnia rolę centrum zarządzania krajem, ale nie wolno zapominać, że dzisiejsza Warszawa pod względem wkładu w ogólnokrajową produkcję, zarówno na rynek wewnętrzny, jak i na eksport, zajmuje — po województwie katowickim — drugie miejsce w kraju. Prawie 800 tysięcy ludzi zatrudniają poszczególne zakłady pracy, z tego niemal 250 tysięcy pracuje w przemyśle, a ponad 100 tysięcy w budownictwie.

Warszawa jest więc miastem pracy, ma najnowocześniejszy przemysł w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Jaki to przemysł? Energetyczny, metalowy, maszynowy, przemysł środków transportu, przemysł elektrotechniczny i elektroniczny, chemiczny, spożywczy, poligraficzny; Huta „Warszawa". Zakłady im. Waryńskiego, im. Nowotki — zakłady nowe i zakłady stare o dużych tradycjach rewolucyjnych, po wojnie zbudowane zresztą niemal od podstaw. Nie chcę mojej wypowiedzi szpikować liczbami, ale warto nadmienić, że wartość środków trwałych w uspołecznionych przedsiębiorstwach przemysłowych sięga kwoty 40 miliardów złotych, a z sumy tej niemal 20 proc. to wartość środków trwałych w przemyśle elektrotechnicznym i elektronicznym.

Dalej: Warszawa to największy w Polsce ośrodek nauki i kultury. Tu grupuje się jedna trzecia ogólnopolskiego potencjału naukowego, tu pracuje ogromna rzesza naukowców. W naszych ośrodkach naukowo-badawczych jest zatrudnionych prawie 2 tys. profesorów i docentów oraz ponad 7 tys. pracowników naukowych niższego stopnia. Kadra inżynieryjno-techniczna liczy ponad 40 tysięcy osób. Około 50 proc. węzłowych tematów związanych z rozwojem socjalistycznego budownictwa opracowywanych jest przez naukowców mieszkających w Warszawie. Ich praca służy więc całemu krajowi.

Podobnie jest z kulturą i sztuką. Mamy 23 sceny teatralne, 26 muzeów, 172 biblioteki (z filiami), 64 kina. W Warszawie znajdują się główne ośrodki radiowo-telewizyjne, redakcje czołowych dzienników, czasopism i wydawnictw, tu mieszka większość polskich pisarzy i dziennikarzy. I nie tylko ich.

— Można więc, niejako sumuję twoje rozważania, powiedzieć, że Warszawa jest drugim krajowym ośrodkiem przemysłowym, a pierwszym — naukowym i kulturalnym. Bo już nie trzeba przecież dodawać, że jeśli nie każdy obywatel naszego kraju ma możność odwiedzić warszawski teatr, to każdy może zobaczyć warszawskich aktorów w telewizji czy w filmie. Zresztą dlaczego mówić „warszawskich"? Po prostu — dobrych aktorów polskich.

— Oczywiście. Kultura polska jest jedna, niepodzielna, ale ma ona różne barwy. Sama Warszawa mogła się o tym przekonać w czasie Panoramy Trzydziestolecia, stanowiącej bogaty przegląd dorobku całego kraju. Szczególnie mi miło, że Panoramę zainaugurowała Lubelszczyzna, ziemia o dużych tradycjach, kolebka władzy ludowej w 1944 roku. Nawiązane wówczas przyjacielskie kontakty pragniemy kontynuować. Temu celowi — upowszechnianiu krajowych osiągnięć kulturalnych — służą też spotkania teatralne, Warszawska Jesień Poetycka, a także szereg festiwali, takich jak Warszawska Jesień Muzyczna czy wystawy plastyki. Organizowane w Warszawie imprezy oglądają nie tylko mieszkańcy stolicy. Przecież dziennie przybywa do miasta ok. 300 tysięcy osób z całej Polski!

— Wspomniałeś o Panoramie Trzydziestolecia. W roku Trzydziestolecia Polski Ludowej cały kraj wzbogacił się o szereg obiektów. My wszyscy podziwiamy warszawską Trasę Łazienkowską...

— Tak, ona stanowi przykład nowoczesnego rozwiązania komunikacyjnego, podobnie jak Wisłostrada. Naszym dążeniem jest, aby w każdej pięciolatce oddawać do użytku nową przeprawę mostową przez Wisłę, no i dalej usprawniać komunikację. Mam tu na myśli dalsze przedłużenie Trasy Łazienkowskiej, obwodnice, a także rozpoczęcie budowy Trasy Toruńskiej. To wszystko nie oznacza, że chcemy jedynie usprawniać ruch naziemny. Potrzeby są bardzo duże, stąd zapadła decyzja budowy metra, którego pierwszy odcinek od Huty „Warszawa" do Ursynowa zamierzamy przekazać do użytku w pierwszych latach osiemdziesiątych. Kiedy jestem przy osiągnięciach stolicy w 1974 roku, nie mogę nie podkreślić, iż rok ten zamknęliśmy po raz pierwszy w historii miasta wybudowaniem 20 tysięcy mieszkań, liczby prawie dwukrotnie większej niż w 1970 roku. Ogółem w bieżącej pięciolatce Warszawa wzbogaci się o 90 tysięcy mieszkań. Interesujące, że obecnie ok. 80 proc. wszystkich mieszkań ma bezpośredni dostęp do słońca, nasi architekci starają się tak je projektować, aby nie było mieszkań skierowanych tylko na północ. I tu dla porównania warto przypomnieć, że w Warszawie przedwojennej zaledwie 25 proc. mieszkań było nasłonecznionych. Żadne miasto w Europie nie znajduje się dzisiaj w tak korzystnej sytuacji, jak Warszawa. Podobnie jest z zazielenieniem. Na każdego mieszkańca stolicy Polski przypada dziś 40 m kw. powierzchni zielonej, a do tej powierzchni nie zaliczamy przecież podwarszawskich lasów. I żeby obraz był pełniejszy dodam, iż mamy jeszcze jeden najwyższy w Europie wskaźnik: wskaźnik zdalnego ogrzewania. Około dwóch trzecich mieszkań korzysta z elektrociepłowni.

— Praca, mieszkanie — to na pewno sprawy podstawowe. Ale — zwłaszcza w związku ze wzrastającą liczbą wolnych sobót — problem wypoczynku nabiera szczególnego znaczenia.

— Myślimy i o tym. Nakreśliliśmy sobie i wykonaliśmy już szereg zadań. W każdej dzielnicy powstał ośrodek wypoczynkowy w postaci pełnoprofilowych ośrodków typu Moczydło czy ośrodek przy ul. Namysłowskiej, gdzie istnieją baseny, boiska, ośrodki żywienia zbiorowego itp. Zbliżyliśmy też Warszawę do Wisły, budując na jej całym prawie pasie bazy ośrodków wypoczynkowych, w tym plaże miejskie. Chcemy, aby w przyszłości zorganizowany wypoczynek stał się udziałem wszystkich mieszkańców stolicy. Takich miejsc wypoczynku mamy obecnie dla 300 tysięcy ludzi. W przyszłej pięciolatce zamierzamy tę liczbę podwoić. Jest to ważne z dwóch punktów widzenia — społecznego i czysto osobistego. Ludzie, którzy tak dobrze pracują, muszą mieć możliwość i dobrego wypoczynku, regeneracji sił. Zarówno w samej Warszawie jak i w jej najbliższych okolicach.

Problemów, które rozwiązujemy, bądź które czekają jeszcze na rozwiązanie, jest wiele. Weźmy na przykład sprawy oświaty. Przed kilkoma laty zapewniliśmy a nawet nałożyliśmy obowiązek powszechności kształcenia młodzieży po szkole podstawowej — w różnych formach: pełnej szkoły średniej, bądź szkół typu zawodowego. W coraz szerszym stopniu umożliwialiśmy również kształcenie w zakresie pełnej szkoły średniej tym absolwentom szkół zawodowych, którzy podjęli pracę i chcieli uczyć się dalej w godzinach wieczornych. Jest to ważne, bo w mieście, które odczuwa deficyt rąk do pracy i potrzebę sił kwalifikowanych, trzeba było znaleźć formy, które pozwoliłyby upowszechnić kształcenie na poziomie ponadpodstawowym. Co najmniej od roku realizujemy dalszy stopień tego upowszechnienia: chodzi nam o to, aby każdy uczeń ukończył pełną szkołę średnią. Podjęliśmy decyzję, iż w wyniku rekrutacji w roku bieżącym to upowszechnienie w zakresie pełnej szkoły średniej, z maturą, osiągnie co najmniej 80 proc. młodzieży. Uważamy, że zasadnicze szkoły zawodowe spełniły już swoje zadanie, będziemy je zastępować szkołami średnimi, oczywiście typu zawodowego. Jednocześnie profilujemy licea ogólnokształcące. Niezależnie od wiedzy ogólnej uczniowie w poszczególnych klasach specjalizują się w różnych kierunkach nauk humanistycznych lub nauk ścisłych. To daje dobre efekty.

Z myślą o najmłodszych, no i matkach pracujących, dążymy do upowszechnienia przedszkoli. W bieżącym roku objęliśmy systemem opieki przedszkolnej prawie 62 proc. dzieci. To dużo, ale przecież na przyjęcie do przedszkoli czeka 5 tysięcy dzieci. W tej sytuacji podjęliśmy decyzję o priorytecie budownictwa przedszkolnego w 1975 r. Oddamy do użytku 24 przedszkola, ponadto — z uwagi na spadek ilości uczniów w szkołach — wygospodarujemy na przedszkola niektóre obiekty szkolne.

— Warszawa jest miastem ludzi młodych, dobrze więc, że o nich władze miasta troszczą się szczególnie, ale, jak wykazują chociażby same statystyki, coraz bardziej wzrasta liczba osób starszych, w wieku poza-produkcyjnym.

— Tak, w ostatnim piętnastoleciu liczba ta wzrosła niemal dwukrotnie i wzrastać będzie nadal. Wśród ludzi wkraczających w wiek emerytalny jest wielu bojowników o wolność, wielu zasłużonych weteranów pracy. Zapewnienie im pogodnej jesieni to nasz obowiązek. Budujemy domy spokojnej starości, ale szukamy też i innych rozwiązań w nowych osiedlach mieszkaniowych. Na przykład na mokotowskim osiedlu Stegny jedną trzecią mieszkań w bloku eksperymentalnie przystosowujemy do potrzeb ludzi samotnych, starszych, zaprowadzając specjalne urządzenia socjalne, nawet inaczej projektujemy schody. Cel jest jeden: człowiek stary nie może czuć się osamotniony.

— A przyszłość Warszawy?

— W 1974 r. Biuro Polityczne PZPR i Rada Ministrów zatwierdziły plan społeczno-gospodarczego rozwoju Warszawy do 1980 r., lecz rzutujący i na dalszą perspektywę. Był to pierwszy tego rodzaju plan, z którym wystąpiła nasza instancja partyjna. Plan ten zakłada systematyczny rozwój Warszawy i mówi o podstawowych parametrach. Już w przyszłej pięciolatce mamy zbudować w stolicy co najmniej 120 tysięcy mieszkań o wyższym metrażu, co wprawdzie nie zaspokoi wszystkich potrzeb, ale będzie kolejnym skokiem naprzód. Zmodernizowany zostanie przemysł. Większą zmianowość osiągnie się dzięki większej automatyzacji, dzięki wprowadzeniu nowych maszyn i urządzeń. Plan zakłada też utworzenie warszawskiego zgrupowania naukowego na Siekierkach, ogromnego zespołu dla warszawskich uczelni, instytutów naukowo-badawczych. Nad Wisłą powstanie wielkie miasteczko naukowe.

Obok tras komunikacyjnych, o których była już mowa, plan przewiduje oddanie w bieżącym roku do użytku Dworca Centralnego. Chcielibyśmy, aby delegaci na VII Zjazd PZPR mogli już na ten supernowoczesny dworzec przyjeżdżać. Oprócz Dworca Centralnego powstanie wielopoziomowe nowoczesne skrzyżowanie Al. Jerozolimskich z ul. Chałubińskiego, powstaną zakłady usługowe, a w latach następnych Dworzec Centralny będzie poniekąd otwierał zachodnie centrum Warszawy — wizytówkę naszego miasta, stanowiące jakby pomost łączący wiek XX z wiekiem XXI.

Oprócz wielkich inwestycji, w tym i metra, zamierzamy zbudować szereg urządzeń typu infrastruktury. Mam tu też na myśli nowe ujęcie wody z Narwi i rurociąg. Nowe szpitale na Bródnie i w Wilanowie, a także Centrum Zdrowia Dziecka przyczynią się do poprawy opieki zdrowotnej. Mamy również na uwadze inwestycje służące wzrastającym potrzebom kulturalnym.

Oczywiście o perspektywach można mówić długo. Chcę na zakończenie podkreślić, że po grudniu 1970 r. zrobiło się niezwykle wiele. Warszawskie tempo pracy nabrało nowego wyrazu, czyny społeczne, stanowiące wyraz poparcia dla nowego kierownictwa partii i rządu, objęły setki mieszkańców stolicy. Dziś Warszawa liczy według ostatnich danych 1 400 000 mieszkańców, o 50 tys. więcej niż przed wojną. Charakterystyczne jednak, że teraz ludność mieszka na dwukrotnie większym terytorium. Warunki bytu znacznie się więc poprawiły.

Musimy kończyć rozmowę. Myślę, że nie ostatnią.

Rozmawiał M. A. Jaworski

Kamena str. 3

Fot. E. Ciołek

Staromiejska Galeria Labirynt w Lublinie nadal ma kłopoty z zawilgoconą najniższą kondygnacją piwnic, także przeznaczoną do urządzania ekspozycji, lecz nowemu kierownictwu nie przeszkadza to w sensownej działalności. Andrzej Mroczek, szef przybytku, co raz sprowadza do Lublina bardzo wartościowe, lub przynajmniej ciekawe wystawy. W listopadzie zaprezentował np. międzynarodową grupę młodych konceptualistów (z Polski, Portugalii, Czechosłowacji, Jugosławii, RFN, Francji, Japonii), korzystając z dobrych kontaktów z Tomkiem Kawiakiem, od kilku lat przebywającym w Paryżu. Natomiast 3 grudnia 1974 r. odbyło się w „Labiryncie" otwarcie ekspozycji indywidualnej rysunku Jana Dobkowskiego. Katalog, który wydano z tej okazji, to właściwie album o imponujących rozmiarach, zaopatrzony w kilka reprodukcji wg. fotografii Erazma Ciołka. Gratulujemy świetnego pomysłu, oby tak dalej! Przy okazji pragniemy zacytować fragment wstępu do katalogu wystawy: „Jan Dobkowski urodził się w 1942 roku. Jest to mężczyzna średniego wzrostu, krępy, mocno zbudowany, żyjący bardzo intensywnie. Tematem jego twórczości jest od początku anatomia człowieka, rozumiana w sensie dosłownym i ogólniejszym. Interesuje go postać i fizyczne wnętrze, interesuje go biologiczny status człowieka i psychologiczne następstwa tej pierwszej sfery. Przez całą niemal twórczość Dobkowskiego przewijają się wątki miłości, macierzyństwa, kobiety panującej, związku człowieka z naturą". Fotografia, którą zamieszczamy, nosi tytuł „Autoportret intensywny".

IJK

PEDAGOGICZNE STARTY I FALSTARTY

MĄDRZY SŁAWNI...

Barbara Koś

SZEŚĆ dni w tygodniu jak Mojżesz wywodzę lud mój z niewoli podobnej do egipskiej, w którą popadł był nie z własnej winy. Do piątku mozolnie brniemy przez pustynię, w sobotę szare komórki moich uczniów przestają już reagować na najbardziej nawet błyszczące perły naszej literatury (nie kojarzyć z rzucaniem pereł przed... niepedagogicznie!), no a siódmego dnia tygodnia cała zdobyta uprzednio wiedza roztapia się w przestworzach i trud Syzyfa zaczyna się od początku.

Każdy następny dzień polega zatem na stwarzaniu z twardej i opornej gliny nowego człowieka. Ale stara to prawda, że jeżeli człowiek uzurpuje sobie prawa boskie, stworzy tylko jak Ojciec u Schulza — Manekina. Kochani młodzieńcy permanentnie znajdują się w stanie ogromnego zdziwienia, czekam chwili, kiedy okaże się, że zapomnieli już nie tylko alfabetu, ale i tego, że budynek, w którym się znaleźli nazywa się szkoła. Temu zdziwieniu ważnie dopomaga program nauczania i sama literatura ojczysta. Kto np. podejmie się próby interpretacji wiersza „Grób Agamemnona" w technikum wieczorowym:

Mnie od mogiły Termopilskiej
gotów
odgonić legion umarłych
Spartanów
Bo jestem z kraju smutnego
ilotów
Z kraju — gdzie rozpacz nie
sypie kurhanów...

Jeżeli chcielibyśmy wytłumaczyć sens cudzoziemcowi — zasłonimy się językową barierą, pewnymi funkcjonującymi wyłącznie w naszej literaturze pojęciami i symbolami. Stojąc przed rodakami jestem bezradna, tchórzę i ograniczam się do podyktowania, nie nazbyt błyskotliwego zresztą, wniosku...

Lepiej zrozumiałym staje się Krasicki. Interpretacja jego bajek w klasie I-a przewyższa chyba wszystko, co do tej pory na temat Krasickiego napisano. Przez wzgląd na cenzurę nie przytoczę skojarzeń młodych umysłów na temat „ojca łakomego i syna rozrzutnego" tudzież dewotki, co to służebnica w czymś jej przewiniła, w połączeniu z bajką o pochodni i świecy. Problem wynika dopiero przy szczurze:

Mnie to kadzą, rzekł hardzie do
swego rodzeństwa,
siedząc szczur na ołtarzu podczas
nabożeństwa

czyta gładko lniano-włose chłopię i od razu objaśnia: „Szczur ten nie umiał kadzić". Na pytanie, co oznacza słowo „kadzić", w klasie zalega cisza.

— Ja nie umiem powiedzieć — tłumaczy zapytany. — Mogę pani profesor tylko pokazać... — Nawet nikt w klasie się nie śmieje. Problem w istocie jest głęboki...

Naukę kończymy o 20. Gdy miną więc godziny miłości, przestrogi, a przede wszystkim rozpaczy, wszyscy szukamy najdogodniejszych pozycji, aby mężnie dotrwać do ostatniego dzwonka. Najbliżej natury zdaje się być pozycja wczasowo-horyzontalna, wprost na parkiecie, której hołduje wieczny wczasowicz z Ib. Kiedyś wypoczywał w ten sposób sześć godzin z rzędu, odnalazła go dopiero wojna.

Mając w świadomości wizję nauczyciela zaskorupiałego w rutynie, nauczyciela będącego spetryfikowaną mumią, cały czas korzystam z uniwersyteckiej wiedzy polonistycznej. Dwie godziny przekonywałam moich uczniów, że „Pan Tadeusz" jest sumą gatunków, nie epopeją romantyczną, a przypadkiem tylko dowiedziałam się, że nie wiedzą oni w ogóle, który fragment jest inwokacją i że najbardziej frapującym zagadnieniem dzieła jest to, że jakaś stara panna usiłuje uwieść młodego Tadeusza. Ciągle jeszcze uzupełniam niedostatki wiedzy, śledzę najnowsze osiągnięcia teorii literatury, przekazuję to wszystko uczniom, aby lepiej im się spało pod tą ławką. Pamiętam o stwarzaniu sytuacji problemowej na lekcji, choć problemy stwarzają uczniowie i to typu nie opisywanych przez podręczniki fachowe.

— Ile jest 7 razy 9? — pyta kiedyś kolega (magister inżynier) na przerwie. Jest blady i widać, że blisko załamania nerwowego. Robi doktorat, więc nikogo ów stan nie dziwi, ale dziś zwraca na siebie powszechną uwagę.

— 63, a co, od dziś inaczej? — usiłuje ktoś zażartować, ale zaraz milknie.

— Nie wiem — odpowiada słabo kolega — przez całą godzinę ja uczniowi udowadniałem, że 63, a uczeń udowadniał mi, że jest 42 i trzeba przyznać logicznie argumentował... Zawsze co świeży nie skażony umysł... — nie kończy i wszystkim nam robi się nieswojo. Koleżanka próbuje obliczać coś na palcach. Wychodzimy ze szkoły w milczeniu, powtarzając w duchu tabliczkę mnożenia.

— Jak wyglądamy — my, absolwenci wyższych uczelni, anno domini 1973, część z planami naukowymi, po rocznym już przebywaniu w kręgu pracy zawodowej? Wszyscy rozpoczynaliśmy ją przecież z entuzjazmem. Dziś mamy po 60 proc. hemoglobiny, rozstrój nerwowy i masę leków od neurologa! Ale po pierwszym szoku spójrzmy na dalsze lata z odrobiną optymizmu. Bądźmy raczej jak ów metafizyczny wół Leśmianowski, który:

nie bratał się z ciałem,
co umarło w niedoli.
Żył sam w sobie — p o z a nim.
A ono — niech boli.

I pamiętajmy, że największą życiową mądrość wypowiedział ksiądz biskup Krasicki, że owszem:

mądrzy — sławni,
ale głupi — zdrowi...

POLOWANIE NA GŁUSZCE BIBLIOTECZNE

Dokończenie ze str. 1

Wszedł młody rolnik do chałupy, powitał Wojtkowiaka, no i dalejże go molestować. Gadał, gadał, a bibliotekarza oblicze czerwień kryła coraz mocniejsza, ręce gestem bezradności uciekały na boki. Nie miał, społecznik, w swym zbiorze „Rekordowego udoju mleka bez wysiłku". Ogień w piecu buzował, pelargonie na oknie pachniały zdrowo, łóżko gospodarza porządnie zasłane, książki na półkach bez śladu kurzu, równiutkimi rzędami wabiły oko — a tu taka niefortunna historia! Nie załamał się przecież Wojtkowiak, obiecał książkę z biblioteki gminnej sprowadzić. „Nie fatygujcie się — powiedział młody hodowca — jutro i tak muszę być w gminie, sam wstąpię do pani Heni". A na odchodnym zapytał jeszcze, potrącony przez gromadkę czytelników, która wtargnęła właśnie do punktu:

— A ile wy macie, Wojtkowiak, za prowadzenie punktu?

— A będzie z 30 złotych...

— Za dzień?

— Nie, za miesiąc.

Mówią we wsi, że ta właśnie odpowiedź wróciła Jankowi ostre widzenie.

Nazajutrz wstał skoro świt, „fiata" wyfutrował, rurę wydechową podciągnął drutem, bo psiajucha ciut za nisko zawieszona, i ekonomicznym kłusem udał się do biblioteki gminnej. Pech go nie opuszczał, trafił akurat na konfrontację pani Heni z władzą gminną.

— 27 tysięcy przysłał powiat na zakup książek, gdzie jest ta forsa?

— Mamy w gminie ważniejsze potrzeby, selektywnie, pani Heniu, trzeba myśleć, czasy improwizacji należą do przeszłości — informował naczelnik, opierając się z lekka o jeden z regałów. Mebel wykorzystał sytuację i rozleciał się na części, grzebiąc inżyniera rolnika pod stertą literatury społeczno-politycznej.

— Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy — zaśmiała się pani Henia. — Regałów nowych nie chcecie kupić, węgiel na zimę wydzielacie po kawałku, na czytelnie nie chcecie znaleźć lokalu, a mnie na pół etacie trzymacie. Wiem dobrze, że w innych gminach jest inaczej.

— Od statystyki to ja jestem — wykrztusił naczelnik, ze wstrętem odrzucając broszurkę z napisem „Ustawa o bibliotekach publicznych — 1968 r.", która spadła mu na wątrobę. — Na 189 bibliotekarzy gminnych 21 pracuje na ryczałtach albo na pół etatu... A o 27 tysiącach zapomnijcie...

Doszedł w końcu młody rolnik do głosu, prosi o „Rekordowy udój mleka bez wysiłku". Pani Henia za głowę się łapie, wydziwia, tłumaczy, że teraz we wsiach wszyscy się uczą, kształcą, ludzie poczuli pismo nosem i kieszenią, przekonali się do książek fachowych, szczególnie młodsi. Zatem pustawo w bibliotece, także dlatego, że z nowości wydawniczych trafia do niej rocznie kilka zaledwie pozycji.

— Z pustymi rękami nie wrócę, wyśmieją w domu, ja bowiem zapobiegliwy, „Z ołówkiem w ręku"' mnie nazywają, daj Heniu, bodaj „Starą Baśń".

Pani Henia padła na krzesło, oparcie trzasło, ale nie puściło do końca, znów śmiech ją ogarnął, tyle że raczej histeryczny.

— „Starej Baśni" się zachciało! A może „Potopem" służyć, co?! Przecież, Janku drogi, to jest na śmierć zaczytane, stale krąży wśród ludzi, bo w tym się można wyrozumieć. Jak chcesz, bierz „Pomysł" Brandysa Kazimierza, stoi na półce, nikt tego jeszcze w gminie nie czytał. Ja też. Przedtem jednak wypełnimy rewers okrężny na ten twój „Rekordowy udój bez wysiłku" i poślemy go do biblioteki powiatowej. Może tam znajdą. Uprzedzam cię jednak, że jeśli dostaniemy tę książkę, będziesz z niej mógł korzystać tylko tu, w bibliotece gminnej, pod moim nadzorem. Takie są przepisy.

Wypełnił młody rolnik rewers, wskoczył do „fiata", wspiął go gazem do deski i pomknął w rodzinne strony, unosząc za pazuchą książkę pod tytułem „Pomysł". Wieść niesie, że już po kilku dniach ożenił się z nauczycielką — polonistką, absolwentką UMCS, która magisterium uzyskała za pracę pt. „Nieadekwatność tradycyjnych form narracji literackiej w stosunku do skomplikowania nowoczesnej rzeczywistości humanistycznej, czyli zawstydzenie klasyków".

Tymczasem rewers okrężny dotarł pocztą do biblioteki powiatowej. Na biurku dyrektora, oddzielonym od klienteli trzema potężnymi regałami z piśmiennictwem encyklopedycznym i dokumentacją urzędową, winien znaleźć się o godzinie 12, lecz stało się inaczej. Otóż na stanowisku doręczyciela (listonosza) funkcjonował człowiek nowy, nie obyty z administracyjno-kulturalną topografią miasta, a poza tym naiwny. Trzykrotnie przechodził koło baraku z choroblewką na dachu, nie domyślając się, że mija siedzibę biblioteki powiatowej. Wyobrażał sobe bóg wi co, a zobaczył wkopany w ziemię drewniak (na dodatek sprzedany potajemnie, nie wiadomo przez kogo). Po przekroczeniu progu tej skarbnicy kultury narodowej popełnił kolejną gafę.

— Ciasno tu coś. EM-ile mierzycie?

— Tak?! Ciasno panu? A był pan w Tomaszowie, Biłgoraju, Kraśniku, Lubartowie, Białej Podlaskiej?! Nie różnimy się zbytnio od tamtych bibliotek. Tylko w Puławach i Krasnymstawie istnieją przyzwoite pomieszczenia.

Znalazł się rewers na biurku. Leży sobie i czeka. Nikt go jakoś nie dostrzega. Pani Zosi, która potraktowałaby to wołania o wsparcie z pospieszną życzliwością, już w bibliotece nie ma. Odeszła, bo etat odebrano. Natomiast pani Jadzia udała się rankiem w daleką podróż do miasta uniwersyteckiego, gdzie podwyższa swoje kwalifikacje zawodowe. To dobrze, bo tylko 7 proc. ogółu zatrudnionych w bibliotekarstwie polskim posiada dyplomy ukończenia studiów. W województwie olsztyńskim na 560 pracowników zaledwie 29 ma akademickie wykształcenie, spośród 830 bibliotekarzy Lubelszczyzny 60 proc. chwali się cenzusem szkoły wyższej i ś r e d n i e j. Więc uczyć się trzeba. I warto, bo po niedawnej regulacji płac w bibliotekarstwie, na którą przeznaczono 80 mln zł, stał się to zawód dość intratny. Kiedyś nauczyciele uciekali z pracy w kulturze, teraz próbują tam wracać. Zrozumiałe, że pani Jadzia kształci się wyżej, jeździ do odległego miasta, w pokorze znosząc trudy noclegów na dworcu kolejowym. W metropolii hotele przepełnione, o łóżku w akademiku nie ma co marzyć, krewnych brak. Więc kształcą się ludzie, zaciskając zęby. A chłodni obserwatorzy twierdzą tymczasem, że jest to nauczanie na skandalicznym poziomie. 22 ośrodki wyższej edukacji bibliotekarzy w kraju nie posiadają odpowiednich lokali, środków finansowych, sprzętu, skryptów, kompetentnej kadry dydaktycznej. Ośrodkami kierują ludzie, którzy nie mają większego pojęcia o bibliotekarstwie. Będzie przecież lepiej, Ministerstwo Kultury i Sztuki opracowuje

Dlaczego w Bychawie nie kochają inżynierów?

Dokończenie ze str. 1

było nieco inaczej. Sama AR bowiem na stanowiska asystentów przyjęła 30 własnych absolwentów, natomiast pełnomocnik do spraw zatrudnienia absolwentów na siłę umieścił w powiatach czterdziestu trzech dalszych. Ale potem musiał leczyć sobie gardło, nadwerężone podczas kilkuset rozmów, nie zawsze prowadzonych w wersalskim tonie... A każde skierowanie dotyczyło stanowiska, na którym zgodnie z siatkami płac i taryfikatorami muszą być zatrudnieni ludzie z wyższym wykształceniem.

Dlaczego więc tyle przedziwnych trudności stawia się przed młodymi ludźmi z dyplomami wyższych uczelni? Dlaczego nie chce się ich tu, tam i jeszcze gdzie indziej? Dlaczego w roku ub. około pięciuset młodych ludzi pracujących jeszcze ze skierowaniami zgłosiło się do Wydziału Zatrudnienia Urzędu Wojewódzkiego, aby im zmieniono skierowania do innych zakładów pracy (uwzględniono sto pięćdziesiąt podań, uzasadnionych zmianą sytuacji życiowej)?

Wciąż jeszcze silnym, a czasem nawet coraz silniejszym magnesem jest miasto wojewódzkie. Mówimy, że Lubelszczyzna może się pochwalić 26 tysiącami ludzi z wyższym wykształceniem, prawie wyłącznie zdobytym już po wojnie. Ale to nie jest pełna prawda — 52 proc. inżynierów i magistrów zatrudnionych jest w Lublinie. A już całkiem katastrofalnie jest w kulturze i sztuce — 81 proc. pracuje w Lublinie, zaś dziewięć powiatów ma w sumie ... dwóch ludzi z ukończonymi studiami wyższymi! Sam Lubartów ma trzy razy więcej, podobnie jak Łuków.

Jeżeli więc miasto wojewódzkie — a Lublin nie jest przecież wyjątkiem — jest takim magnesem, to co zrobić, aby zneutralizować choć w części jego oddziaływanie? Ano stosować odpowiednie bodźce. To znaczy — nie ma się czego wstydzić — materialne. Przede wszystkim chodzi tu o mieszkania. Sytuacja mieszkaniowa jest w ogóle ciężka i mówienie o jakichś preferencjach wielu ludziom może wydać się nieprzyzwoite. A przecież od lat rady narodowe, teraz naczelnicy, mają do dyspozycji co roku pulę mieszkań do rozdziału dla fachowców. Czy wszystkie zostały przydzielone rzeczywiście najbardziej potrzebnym fachowcom? Były już sygnały o różnych nieprawidłowościach, jak chociażby w Kazimierzu, ale nigdy nie słyszałem, aby przeprowadzono jakąś generalną kontrolę.

Wydaje mi się również — i mój głos nie jest tu pierwszym wątpiącym — że wojewodowie stracili jeden z poważnych atutów, jakim były przydziały samochodów. Pozostawienie przydziałów resortowych sprzyja zapewne interesom tego czy innego resortu, ale nie musi sprzyjać województwu jako całości.

Są i inne przyczyny, bardziej — można powiedzieć — subtelne. Jakkolwiek nikt się do tego oficjalnie nie przyzna, to przecież tu i tam funkcjonują jeszcze dawne metody. Dasz awans mojemu zięciowi — zatrudnię twoją córkę. Albo: swój chłop, trzeba go awansować (utrzymać na kierowniczym stanowisku). A ilu ludzi myśli jeszcze tak: przyjdzie taki młody inżynierek, zacznie się mądrzyć i za rok czy dwa wysiuda mnie z kierowniczego stanowiska, więc lepiej go nie przyjmować!

Trwa w tej chwili w całym kraju przegląd zatrudnienia. Chodzi nie o to, aby kogokolwiek pozbawić pracy, ale o to, aby zatrudniać ludzi racjonalnie. To znaczy zgodnie z kwalifikacjami i zgodnie z potrzebami. Kwalifikacje zaś należy rozumieć szeroko — nie tylko formalny papierek, ale chęć i umiejętność korzystania z tej wiedzy, predyspozycje do stanowiska kierowniczego, umiejętność współżycia. Nie jest to akcja prowadzona „na chybcika", jak to było z „kadrą rezerwową" (ciekawe, na ile z niej w praktyce skorzystano?) czy spisem „magister", który okazał się bardzo niedokładny, czasami nawet nieprawdziwy, o czym sam po jego zakończeniu pisałem.

Na 440 tys. zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej województwa mamy 220 tys. ludzi z wykształceniem zawodowym różnego szczebla. Dużo to i mało. Dużo w porównaniu ze startem, mało w porównaniu ze wzrastającymi potrzebami. Trzeba więc posiadanym majątkiem gospodarować roztropnie, efektywnie. Już w następnej pięciolatce przyrost siły roboczej wyniesie tylko około 67 tys. ludzi, czyli o prawie 20 tys. mniej niż w obecnej, a po uwzględnieniu stałej migracji poza wojewódzkiej pozostanie nam tylko około 33 tys. W jeszcze następnej pięciolatce będziemy mieli zaledwie kilkanaście tysięcy. A przecież nie tylko chcemy, ale musimy rozwijać dalej naszą gospodarkę, budować nowe fabryki i szkoły, domy i szpitale, nie mówiąc już o węglu. Jeżeli ubytku nowych rąk do pracy nie zrównoważymy wydajnością pracy, jeżeli nie potrafimy lepiej wykorzystywać drzemiących w ludziach możliwości, jeżeli nie potrafimy odcinać w odpowiedniej ilości kuponów od pieniędzy i starań, włożonych w kształcenie i wychowanie młodego pokolenia — zatrzymamy się w rozwoju. A zatrzymanie się oznacza w istocie cofanie się.

Do 31 maja w wyniku zarządzenia wojewody mają być opracowane zapotrzebowania na kadry z wykształceniem wyższym, średnim i zasadniczym zawodowym na lata do roku 1990 — w układzie powiatowym i branżowym. Do 31 sierpnia programu zbiorczego dla całego województwa, a do 30 listopada pragramu rozwoju szkolnictwa wszystkich szczebli, uwzględniającego faktyczne potrzeby kadrowe naszej gospodarki.

Tym razem więc działamy wolniej, ale roztropniej.

Jerzy Dostatni

Krzysztof Paczuski

SONET XXIV

Palcami zwilżę nagą ścianę
powlekę szronem chłodny meszek,
by skrzesać dreszcze, by ożywić
krew w piersi białej zakrzepniętą

A kiedy zachwyt rozkołysze
tuż przed mą twarzą blade płótno
Usta swe wsączę w krwistą obłość.

Zanurzę całą swoją niemoc
w jędrną enklawę ukojenia
aby rozdmuchać iskry strachu
co dźwięczą słodko w twoich żyłach
Aby pożary zmysłów wzniecić
w każdym kawałku nagiej skóry
chłonącej krople moich pieszczot.

* * *

płacz dziecka jest
do śmiechu starca podobny
dźwięk posiada także milczenie
drzwi zarosłych pajęczyną na wieki
dwa może trzy skojarzenia wystarczą
aby uwierzyć w nieistnienie różnic
między początkiem a
końcem między
agonalnym westchnieniem dębu
a uśmiechem bolesnym rodzącej
zaufanie do praw natury
zagryzło nas w czasie
nasze własne przeświadczenie o
nieuchronności wszystkiego
zamknęło nam lustra oczu
na prawdę
przycichłą za drzwiami różowych
źrenic pożądania.

* * *

W czarnym nieprzemakalnym nadzieją
skafandrze
wspinasz się synu Syzyfa
na uśpiony szczyt.
Twoja matka skała
płacze nad twym losem
żywym potokiem żłobiąc ostatnią
drogę.
Panie, opuściłeś swego rycerza,
wyrzeźbiłeś go snem
jak przepaść głuchym,
jego żelazny kołpak

nie dudni już żadną ideą.

Chciałbym zamarznąć
wsiąknięty w granit
obedrzeć pamięć cudzą
ze siebie
aby zapomnieć

— nie wszystek umrę

właśnie szerokie plany kształcenia kadry...

Tymczasem rewers doczekał się życzliwego spojrzenia. Bibliotekarz zapoznaje się z jego treścią, po czym szuka odpowiedniej pozycji w katalogu. Nie znajduje. Wypadałoby zatem posłać zamówienie do biblioteki wojewódzkiej. Ale człowiek ten ma rozwinięty zmysł poznawczy i tak sobie, dla własnej orientacji, telefonuje do biblioteki pobliskiego zakładu produkcyjnego, który zatrudnia 2 tysiące osób.

— Pani kierowniczki nie ma — słyszy w odpowiedzi. — Rada zakładowa wydelegowała ją do komisji inwentaryzacyjnej, która spisuje ziarnka grochu w magazynie surowców pierwszorzędnych. A ja jestem nowa siła, nie wprowadzona jeszcze. Zakładowy ośrodek informacji naukowej, technicznej i co tam jeszcze? Panie drogi, oni z nami nie chcą gadać, oni są nowocześni, śmieją się z nas, że prowadzimy jakieś poezje i prozy. Ale po „tygrysy" przychodzą.

Dzielny bibliotekarz nie wytrzymuje i popada w zadumę. Od pewnego czasu podejmowane są próby utworzenia krajowego s y s t e m u bibliotecznego — pod egidą Ministerstwa Kultury i Sztuki. Miałby on skupiać placówki związkowe, szkolne, akademickie, branżowe i publiczne, racjonalizując politykę zakupów, prowadząc do specjalizacji niektórych księgozbiorów, ułatwiając i skracając czytelnikom drogą do pożądanych publikacji. Powołaniu systemu sprzyjają odpowiednie akty prawne, m. in. ustawa biblioteczna z 1968 r. ale zarazem istnieje szereg wewnątrzresortowych przepisów, które skutecznie hamują rozwiązanie problemu.

A wszystkie biblioteki publiczne odnotowują wzrost liczby wypożyczeń — idący w setki tysięcy. Kształcą się nauczyciele, pracownicy administracji, studia zaoczne stały się zjawiskiem niemal masowym, zbliżamy się do upowszechnienia dziesięcioletniej szkoły ogólnokształcącej. Równocześnie nakłady książek pozostają faktycznie na tym samym, niskim poziomie. Więc ludzie szturmują biblioteki, najczęściej właśnie publiczne, posiadające spore zasoby i ogromną tradycję. W kilku miastach wojewódzkich pełnią one rolę bibliotek międzyuczelnianych! Tymczasem w świadomości wielu d e c y d e n t ó w są to magazyny beletrystyki, które nie mają prawa równać się np. z zakładowymi czy innymi ośrodkami informacji naukowej, technicznej i ekonomicznej. Oczywiście, natura tych dwóch instytucji różni się nieco: biblioteki publiczne wyższego

Fot. Archiwum

szczebla działają stosunkowo sprawnie, podczas gdy przeróżne odmiany CINTE są nieporadne i nie posiadają w swoich zbiorach tego, co mieć powinny.

„Z ołówkiem w ręku" doi z wysiłkiem, ulotne chwile pocieszenia odnajdując w lekturze „Smaku miłości i łez", co irytuje małżonkę. Okazało się, że miast wyzwolić z okowów tradycjonalizmu, „Pomysł" skierował Janka na łzawe melodramacisko, które nieoczekiwanie ma ochotę zakończyć się tragifarsą. Rewers jest w lepszej sytuacji.

Trafił już do Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego w Lublinie, która na wszelki wypadek kupuje trzy egzemplarze niektórych tytułów, mając na uwadze takie właśnie zamówienia z terenu. Pech nie opuszcza jednak nadawcy ze wsi Kanciaste, tu także nie posiadają „Rekordowego udoju mleka bez wysiłku"; książka ukazała się w nakładzie trzy tysiące egzemplarzy, podczas gdy w kraju istnieje ponad 53 tysiące bibliotek różnego typu i funkcjonuje coś takiego, jak prywatny nabywca. W tej sytuacji należy szukać pomocy w bibliotekach uczelnianych Lublina. Placówka wojewódzka, w przeciwieństwie do wielu gminnych, posiada telefon (nawet kilka), zatem robi z niego użytek. Niestety, znów niewypał, a w Akademii Rolniczej kwestionują nawet istnienie książki o takim tytule, czemu zresztą trudno się dziwić, ale to oczywiście inna sprawa. Nasza biblioteka nie upada przecież na duchu, tym bardziej, że niedawno otrzymała telex. Przy pomocy tego nowoczesnego przyrządu alarmuje więc Centralną Bibliotekę Rolniczą w Warszawie. Bezskutecznie. Takiej książki nie ma, nie było i podobno nie będzie na rynku. Mieszkaniec wsi Kanciaste skazany zostaje na dojenie z wysiłkiem, co ostatecznie okazuje się wcale owocne: jedna krowa daje rocznie ponad sześć tysięcy litrów mleka, a zwierza takiego ma on w oborze sześć sztuk.

Załóżmy jednak, że poszukiwaną książkę odnaleziono w Lublinie, w zbiorach jednej z bibliotek uczelnianych. Prawdopodobnie byłby to jeden egzemplarz, tzw. prezencyjny. Wypożyczenie takiej publikacji praktycznie nie wchodzi w rachubę, co nawet zrozumiałe: biblioteka powinna dbać o swoich czytelników i stan własnych zbiorów. Wysłanie w Polskę j e d y n e g o egzemplarza to poważne ryzyko. Nie ma więc książki pod eternitem, ale jest problem, który znów kieruje nas w stronę krajowego systemu bibliotecznego. Wydaje się, że jednym z jego ogniw winien być księgozbiór wojewódzki nastawiony wyłącznie na wypożyczane międzybiblioteczne i sprawnie skomunikowany z siecią placówek gminnych i powiatowych. Jak dotąd, jest to jednak rozmowa o duchach, jako że systemu nie ma. Obserwuje się natomiast rozproszenie sił i środków w całym bibliotekarstwie oraz pewne lekceważenie bibliotek publicznych przez instytucje zajmujące się przepływem informacji. Jest to zjawisko tyle zdumiewające, co naturalne, niestety. Wszelkie badania potwierdzają, że właśnie biblioteki publiczne są w Polsce najbardziej czynnym społecznie źródłem różnorodnej informacji, bijąc pod tym względem placówki o profilu akademickim czy branżowym — mimo że pracują nierzadko w trudnych warunkach. „Informatycy" natomiast lekceważą te instytucje, albowiem podzielają naturalne u nas przekonanie, że nowoczesność tożsama jest z treścią szyldu, I n f o r m a c j a, s y s t e m I n f o r m a c j i, tak, to jest na pewno bardziej nowoczesne od b i b l i o t e k a p u b l i c z n a.

Miejmy przecież nadzieję, że opracowany właśnie program rozwoju bibliotekarstwa w Polsce rozwikła i ten problem.

Ireneusz J. Kamiński

PS. Autor pragnie wyjaśnić, na wszelki wypadek, że t y l k o wątek fabularny artykułu, nazwa Kanciaste oraz imiona i nazwiska bibliotekarzy, zawarte w publikacji, są fikcyjne.

Kamena str. 5

BUDOWNICZY

PRZEKAZUJĘ wam, towarzyszu redaktorze — mówi Józef Dechnik, — swoje zwierzenia po to, aby podzielić się przemyśleniami i doświadczeniami z tymi, którzy jak wędrowcy znajdują się na początku drogi i z tymi, którzy są już gdzieś dalej lub jak ja znajdują się bliżej jej końca. Towarzysz, jako dziennikarz, powinien mi być powiernikiem i doradcą w tych moich wspomnieniach, które zaczynam snuć. Chcę odkryć tak jakoś całą duszę i po prostu, podobnie jak to czynią katolicy, wyspowiadać się z niektórych spraw. Bo jak czuje się człowiek — towarzysz redaktor zadał mi podobne pytanie — jak więc czuje się człowiek, który dopływa do brzegu, mówiąc w przenośni, z dalekiej i długiej podróży, z tej życiowej wędrówki? Cisną się wtedy różne myśli i przypomnienia. Zastanawiam się nad swoim życiem od początku do dziś i od dzisiaj po jego początek. Przychodzi mi na myśl przeczytany w młodzieńczych latach wiersz naszego poety Adama Asnyka. pt. „Jedni i drudzy". Bardzo jego sens utkwił mi w pamięci.

Są jedni, którzy wiecznie za czymś gonią,
Za jakąś marą szczęścia nadpowietrzną,
W próżnej gonitwie siły swoje trwonią
Lecz żyją walką serdeczną.

I całą kolej złudzeń i zawodów
Przechodzą razem z rozkoszą i trwogą,
I wszystkie kwiaty zrywają z ogrodów,
I depcą pod swoją nogą.

Są inni, którzy płyną bez oporu
Na fali życia unoszeni w ciemność,
Niby spokojni i zimni z pozoru,
Bo widzą walki daremność.

Zrzekli się cierpień i szczęścia się zrzekli,
Zgadując zdradę w każdym losu darze,
Przed swoim sercem jednak nie uciekli,
I własne serce ich karze!

Wprawdzie trudno zgodzić się z Asnykiem, że walka jest daremną, próżną gonitwą i oderwaną od życia, ale ten wiersz jakoś pobudził mnie do życiowego rozrachunku.

Szczególnie w ostatnich tygodniach wracałem do tych strof, po podjęciu ostatecznej decyzji mojego przejścia na rentę z powodu pogarszającego się stanu zdrowia. Wracałem do nich podobnie jak do zdań Mirosława Żuławskiego z książki pt. „Pisane nocą": *Życie mija i przechodzi. Kończy się i dokonuje, jak wszystko na świecie. I dalej: Gdzieś do dwudziestego roku życia lata są długie, wyraźne, odgraniczone od siebie miarkami wzrostu i progami świadomości. Potem zaczynają biec szybciej jakby im było dokądś tak spieszno. Przychodzi dzień, kiedy trzeba skonstatować ze zdumieniem: gdzie podział się czas?* Do tych pytań zapragnąłem dodać sobie jeszcze jedno: czym czas ten był w moim życiu wypełniony?

Znajomy KPP-owiec z powiatu chełmskiego, Jan Wójcik, wydał po wojnie książkę pt.: „Poszedłbym tą samą drogą". Wracając teraz do niej myślami, stawiam sobie i to pytanie. Na pewno poszedłbym tą samą drogą, ale starałbym się — gdybym miał tę świadomość, co dziś — żeby była ona bez tylu i tak trudnych zakrętów, aby wybór tej życiowej drogi był bardziej trafny, a jej przebycie z tej przyczyny bardziej owocne, lepsze.

Teraz, kiedy zastanawiam się nad przebytą drogą, myślę również o tym, co przywiodło mnie do partii. Tak się złożyło w moim życiu, że nie towarzysze mnie znaleźli, ale ja szukałem drogi do towarzyszy, którzy należeli do partii. Po powrocie z Argentyny w 1932 roku, razem z kolegami z Krzeszowa: Stanisławem Brzyskim, obecnie mieszkającym w Krasnymstawie i także już na rencie, z Michałem Styrcem, Janem Demidowskim, z innymi wspólnie zastanawialiśmy się, jak przystąpić do zorganizowania w naszej wsi komórki partyjnej. Koledzy ci wraz z towarzyszem Aleksandrem Bełżkiem uczęszczali do szkoły średniej w Biłgoraju i należeli z nim wcześniej do Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. On sam był już działaczem Komitetu Dzielnicowego Komunistycznej Partii Polski w tym mieście. Towarzysze z KD przysłali do nas działacza z gminy Księżpol, gdzie już wcześniej powstała KPP, i on nas nauczył, w jaki sposób najlepiej utworzyć w Krzeszowie komórkę KPP i działać w warunkach nielegalnych. Potem stopniowo rozszerzaliśmy działalność KPP na takie wioski jak Kustrawa, Bystre, Kamionki, staraliśmy się uzyskać wpływy w sąsiednich gminach.

Wiele robiliśmy wśród młodzieży, organizowaliśmy koła KZMP, spośród młodych rośli nam dobrzy towarzysze i działacze na przyszłość, wśród nich także mój brat, który potem, w czasie okupacji, zginął. Krótko mógłbym powiedzieć, że i dom rodzinny, życie w swoim regionie i na emigracji nauczyły mnie wrażliwości na ludzkie sprawy i to mnie przywiodło do partii. Ta wrażliwość cały czas u mnie się utrzymuje, chociaż skala ludzkich kłopotów jest teraz inna. Przede wszystkim istnieją możliwości i warunki skutecznego zaradzenia im. Wraz z wiekiem uczulenie na ludzkie troski nawet bardziej się we mnie potęguje, chociaż do pierwszego sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR ludzie przychodzą z przeróżnymi problemami i można by stwardnieć, poddać się znieczulicy. Przecież jeśli w ogóle chce się żyć i działać w zgodzie z ludźmi, a szczególnie wśród swoich rodaków, nie ma klimatu na znieczulicę.

Stawiałem sobie czasem dawniej pytanie, a które z chwilą decyzji o przejściu na rentę nasuwało mi się częściej: czy i czego zazdrościłem kolegom, znajomym, pracującym w innych zawodach? Tak, zazdrościłem tym, którzy nadal pozostawali rolnikami. Zazdrościłem im możliwości ciągłego obcowania ze środowiskiem, z którego wyszedłem i z przyrodą, a moja praca nie zawsze pozwalała mi na to, szczególnie na pracę na roli. Ile w moim życiu minęło takich dni, w czasie których z różnych przyczyn nie mogłem oglądać wschodu słońca, nie było mi dane w piękny wiosenny poranek patrzeć jak roślinność budzi się na polach do życia, jak w lipcowy dzień dojrzewają kłosy, szumią i uginają się ku ziemi, widzieć poranną rosę na łąkach, podpatrywać igraszki zajęcy w jakiejś dolinie.

Tow. Józef Dechnik

Nie miałem wątpliwości ideologicznych, bywały nieraz polityczne co do metod, często natomiast pojawiało się pewne rozdwojenie na tle: obowiązek partyjny, a chęć obcowania z przyrodą, praca na roli. Charakter mojej pracy za często oddalał mnie od takich wzruszeń a przecież były one udziałem mojego dzieciństwa i chłopięctwa w rodzinnym Krzeszowie, w powiecie biłgorajskim w ogóle. Kiedy jednak było to tylko możliwe, już zdążałem ku znajomym stronom, by znowu być bliżej przyrody, pozostało bowiem w moich odczuciach dużo z osobowości rolnika. Mniej odczuwałem wtedy rozdwojenie, godziłem się na nowo z naturą i z lżejszym sercem wracałem do tzw. miejskich zajęć. Nawet wtedy, gdy chodziłem bez obstawy dogadywać się z dowódcami poszczególnych band w środku lasów, w pierwszych miesiącach i latach po wojnie, aby wyszli ze swoimi chłopcami dobrowolnie z lasu, ujawnili się. Wśród przyrody czułem się jakoś pewniej. Wyroki śmierci, zasadzki, którym uszedłem właśnie dlatego, że znam tu ludność i ona mnie zna, że dobrze znane mi są biłgorajskie lasy, to wszystko dodatkowo uczyniło mnie dłużnikiem przyrody, dłużnikiem mieszkańców Ziemi Biłgorajskiej... Było to i jest we mnie silne, aż krępuje mnie o tym mówić. Zazdrościłem więc nie dobrego urządzenia się, a swobody dysponowania swoim czasem i możliwości wykorzystania go do pracy na łonie natury. Gdybym poszedł inną drogą moje życie wydawałoby mi się chyba dość jałowe. Tak to pojmowałem wówczas i tak to widzę obecnie z odległości minionych lat. Zresztą praca partyjna przynosi także sporo rekompensaty moralnej, chociaż właśnie tutaj widać, jak wolno zmienia się człowiek.

Takie zadośćuczynienia odczuwałem zaraz po wojnie, gdy byłem powiatowym pełnomocnikiem do spraw reformy rolnej i I sekretarzem KP PPR, mogłem takim chłopom jak ja sam rozdawać dworską ziemię. Radość jest we mnie, gdy widzę, że Ziemia Biłgorajska mogła zwycięsko wyjść z największego zacofania na drogę współczesnego postępu i to na miarę, jaką wyznaczył w naszym kraju socjalizm. Nie macie pojęcia, jaką rekompensatą był pierwszy gwizdek lokomotywy, gdy moje i towarzyszy zabiegi o kolej przez nasz powiat spełniły się torami! Marzenia stały się rzeczywistością. Podobnie było z powstawaniem kolejnych zakładów, które zapewniały miejsca pracy dla przeludnionej wsi biłgorajskiej. A nowe kilometry dróg utwardzonych i ulepszanie ich nawierzchni, czy nowe szkoły zasadnicze lub średnie, dające naszej młodzieży możliwości zdobywania zawodu w swoim rodzinnym powiecie?

Są też dni i chwile, których nic nie zastąpi. Pamiętam je z czasów posłowania na Sejm, z członkostwa w Komitecie Centralnym, kiedy to mogę uczestniczyć w rozwiązywaniu wielkich problemów kraju, a także przeprowadzić ważne dla powiatu zmiany, szczególnie gospodarcze i to spotyka się z poparciem nie tylko liczącej 4 780 członków organizacji partyjnej, ale też większości spośród 93 i pół tysiąca mieszkańców powiatu. Najwyższy Order Budowniczego Polski Ludowej jest dla mnie wielkim wyróżnieniem. Daje mi on wielką satysfakcję, ale ciągle mam jakieś wewnętrzne skrupuły, czy aby na niego zasłużyłem? Ciągle mi się wydaje, że wystarczającą dla mnie satysfakcją jest szczebiot dzieci w zbudowanych w ostatnich latach przedszkolach, gwar młodzieży w nowych szkołach podstawowych oraz zasadniczych i średnich, i to takich, jakich dawniej w naszym powiecie nie było. Czasem ludzie mówią mi oczywiste prawdy, jak np. matka dziewięciorga dzieci z mojej wsi: Zawsze, kiedy myślę o latach przedwojennych i obecnych, zastanawiam się jaki byłby los moich dzieci, gdyby nic się nie zmieniło? Musiałyby służyć u zamożniejszych gospodarzy, pędzić los wyrobników wiejskich, czy w najlepszym wypadku dorabiać się w małym gospodarstwie, którego przecież w końcu bardziej dzielić byłoby nie sposób. A dzisiaj? Wszystkie pokończyły szkoły średnie, część wyższe, mają zapewnioną piękną przyszłość, drogę życiową mają utartą przez partię i władzę ludową.

I to powiedziała kobieta, która była kiedyś zahukana, zgnębiona swoim losem, mówi to teraz, kiedy już dawno wyprostowała plecy, choć roboty w małym gospodarstwie jej nigdy nie brakuje. Zadowolenie jest wtedy ogromnie wielkie i rekompensuje wszystkie niebezpieczeństwa z lat odległych i tych bezpośrednio powojennych, odpłaca za wszelkie wyrzeczenia.

Zdarzają się czasem także zadośćuczynienia nawet komiczne, a jedno z nich bliskie było makabreski. Przyszedł do komitetu rolnik z odległej wioski powiatu. Kiedyś miał ważką dla siebie sprawę, racja była po jego stronie. Spowodowałem, aby rzecz rozstrzygnięto po jego myśli. Po jakimś czasie odwiedził mnie znowu.

— Panie sekretarzu — powiedział — zastanawialiśmy się z żoną, jakby się tu sekretarzowi odwdzięczyć. Ludzie mówią, że podarku by pan nie przyjął, a i pewnie wszystko w domu macie i już nie wiemy, co byśmy mogli takiego zrobić, żeby uradować wasze serce. No, to my z kobietą uradzili, że jak pomrzecie weźmiemy kwiaty i razem z dzieciskami przyjedziemy do Biłgoraja na pana sekretarza pogrzeb.

Mam swój wiek i kiedy w tych latach słyszy się taką obietnicę, różnie się o tym myśli, a przecież wiedziałem, że w swoim i żony imieniu powiedział to tak szczerze i serdecznie, jak tylko człowiek potrafi. Nie mogłem i nie chciałem okazać urazy, podziękowałem mu i powiedziałem, że się cieszę z tego, że tak postanowili.

Kiedy w 1956 roku, po pracy w Zamościu, a następnie w Olsztynie, wróciłem do Biłgoraja, aby objąć funkcję pierwszego sekretarza, miałem obawy. Bałem się, czy członkowie egzekutywy KP i inni z kierownictwa powiatu będą szczerze i śmiało wyrażać swoje zdanie wówczas, kiedy ono będzie odmienne od opinii pierwszego sekretarza. Miałem wtedy bowiem — i im było to wiadome — więcej doświadczenia w pracy partyjnej. Obawy te okazały się jednak płonne, co bardzo ułatwiło mi pracę i przysparzało im wiele szacunku w moich oczach. Zawsze szczerze i śmiało wypowiadali swoje poglądy i to z pełnym poczuciem odpowiedzialności za losy powiatu. W atmosferze niedopowiedzeń i przemilczeń nie potrafiłbym pracować.

Mimo to czasem nachodziły mnie zgryzoty, coś mi np. się nie udawało. Jeżeli ci ciężko, to idź do ludzi, wśród nich szukaj oparcia! — to była moja partyjna dewiza przez cały czas. Lubiałem wtedy wpadać do którejkolwiek z wiosek, szczególnie tam, gdzie mnie dobrze znano i ja znałem ludzi, by trafić na taką naturalną chłopską schadzkę u któregoś z gospodarzy. Tam inaczej się rozmawia jak na zebraniu, intymniej, bardziej bezpośrednio i niemal prywatnie. Potem wracałem i z nową energią przystępowałem do moich obowiązków.

Nie, nie zazdroszczę tym, co wybrali inną drogę. Może jednak większą od nich odczuwam satysfakcję z niektórych doznań ogólnonarodowych. Kiedy w czasie emigracji zarobkowej do Argentyny opuściliśmy niegościnne Granczaco i w dwóch grupach po czternaście osób przechodziliśmy w niedzielę przez jedno z miasteczek w środku tego kraju, w prowincji Santa Fe — był to właśnie okres ostrego wchodzenia świata w kryzys gospodarczy, który przede wszystkim uderzył kraje rolnicze — publiczność zebrana na placyku i na chodnikach wołała za nami: Gringo! Gringo! Gringo Polaco! W przekładzie oznaczało to obmierzły obcokrajowiec. Wkładali w to wołanie wiele pogardy dla nas, biednych emigrantów za chlebem, a tym samym dla naszego kraju. Kiedy ostatnio na tym samym kontynencie przebywał towarzysz Gierek i był goszczony jako przedstawiciel liczącego się w świecie państwa polskiego przez prezydenta USA, Geralda Forda, rozpierała człowieka duma, a przecież do tego znaczenia Polski każdy z nas dołożył swoją cząstkę wysiłku. Nie jesteśmy już, jak wtedy, Kopciuszkiem na arenie międzynarodowej i z nami się liczą.

Ta jakby spowiedź — nie spowiedź, byłaby niepełna, gdybym nie stwierdził, że powiat biłgorajski i jego ludność mają dobrą perspektywę rozwoju, chociaż bardzo wiele jest jeszcze do zrobienia na wszystkich odcinkach życia i działalności w powiecie. Sądzę, że te moje refleksje i osobiste odczucia, wynurzenia w jakimś stopniu przydadzą się i młodzieży i starszym. Ja sam nadal, dokąd starczy mi sił, będę aktywnie uczestniczyć w dokonaniach na obecnym etapie, ale w większym stopniu w obcowaniu i z człowiekiem i z przyrodą. Więcej miejsca w moim życiu zajmą ukochane zakątki mojej młodości.

Notował
Aleksander Jański

CZĘŚĆ jednostek wojskowych Wehrmachtu sformowanych w W. Ks. Luxemburg skierowano na tereny okupowanej Polski. Do dzisiaj brak jest szczegółowych danych z tego zakresu. Według dotychczasowych szacunków ogólna liczba Luksemburczyków, których wcielono przemocą do Wehrmachtu, oscyluje pomiędzy 10 000 a 15 000 ludzi. G.G. Nonnermacher, autor pracy „La Grande honte", określa ją na 12 000, z tego 3 000 poległo, 5 000 — zdezerterowało.

Po przybyciu na ziemie okupowanej Polski jednostki Wehrmachtu złożone z Luksemburczyków bardzo szybko nawiązywały kontakty z ludnością cywilną i partyzantami. W tej sytuacji hitlerowskie dowództwo uznało za konieczne rozproszyć Luksemburczyków po licznych oddziałach i pododdziałach. Nie mogło to jednak położyć kresu rozwiniętemu na szeroką skalę zjawisku dezercji. Luksemburczycy ukrywali się u Polaków, korzystając z ich ofiarnej i serdecznej pomocy. W niejednym przypadku zadzierzgnięta została nić wzajemnej sympatii i przyjaźni, która często przetrwała do dziś, m. in. w postaci utrzymywania korespondencji i wzajemnych odwiedzin. Zachowała się też pewna liczba przekazów świadczących o postawie Luksemburczyków — żołnierzy Wehrmachtu wobec walki narodu polskiego oraz o stosunku miejscowej ludności polskiej do dezerterów z Wehrmachtu. Poniżej publikujemy wspomnienia Pierre'a Jentgena, odznaczonego po wojnie polskim Krzyżem Partyzanckim.

Stanisław Okęcki

Luksemburczyk w polskiej partyzantce

Pierre Jentgen

NA początku maja 1943 r. Niemcy wcielili mnie przymusowo do wojska, tak jak wielu innych Luksemburczyków. Przywieziono nas do Milovic w okolicach Pragi czeskiej. Był tam wojskowy obóz ćwiczebny i poligon. Po sześciu tygodniach ćwiczeń przerzucono nas do Tomaszowa Lubelskiego, gdzie w dalszym ciągu szkoliliśmy się. Po upływie następnych dwóch tygodni otrzymaliśmy przydział do Munitionslager (obóz amunicyjny) w Lublinie. Było nas trzech — dwóch Niemców i ja. W czasie tych podróży nabyłem słowniki: niemiecko-polski i polsko-niemiecki. Chciałem się bowiem jak najszybciej nauczyć języka polskiego.

Jeden z Niemców dostał służbę w stolarni, drugi w warsztacie malarskim, ja zaś, ponieważ byłem blacharzem i hydraulikiem, zostałem przydzielony do ślusarni. Tu pracowali sami Polacy, w tej liczbie spora grupa junaków. Już pierwszego dnia powiedziałem im, że jestem Luksemburczykiem i w niemieckim wojsku służę pod przymusem. Można sobie wyobrazić, jak ci ludzie ucieszyli się, gdy usłyszeli, że to ja właśnie zdecydowany byłem walczyć przeciw hitlerowcom.

Echo rozmowy ze mną rozeszło się od razu po całym obozie. Po kilku dniach przyszedł do mnie jeden z przywódców junackich, pytając o to i owo. Odpowiedziałem mu najpierw po niemiecku, a potem w kilku zdaniach użyłem słów polskich. Z junakami szybko się zaprzyjaźniłem, co dzień wieczorem chodziłem do ich baraku, przygrywałem im na gitarze, a oni tańczyli. Pewnego dnia przyszedł do mnie Kazik Michalczuk i powiedział:

— Piotruś, nie lubisz Niemców, prawda?

Odpowiedziałem, że nie lubię ich i chcę szkodzić im tyle, ile tylko to jest możliwe. Kazik bacznie spojrzał na mnie i cicho oświadczył, oglądając się ostrożnie dokoła:

— Nam potrzebna jest amunicja.

— Cóż to, chcecie wszyscy uciekać? — zapytałem.

— Nie, Piotruś, jest inna rzecz: potrzebujemy amunicji, broni i granatów dla partyzantów.

— To pierwszorzędna myśl. W porządku, postaram się dać wam tyle, ile chcecie.

Następnego dnia odłożyłem pewną ilość nabojów do pistoletów, karabinów oraz kilka granatów ręcznych i wszystko schowałem w swojej szafie. Wieczorem przełożyłem to do torby i poszedłem do miasta pod adres, który mi podał Kazik. Oddałem mój „towar".

Powtarzałem to kilkakrotnie bez trudności, gdyż Niemcy uważali mnie za Niemca i wartownikowi, który stał przed bramą, nie mogło przyjść do głowy, żebym ja mógł wynosić z terenu obozu amunicję i broń. Kiedyś jednak spytał:

— Peter, co do cholery wyprawiasz z tą torbą?

Odpowiedziałem mu z uśmiechem, że dostałem z Luksemburga różne rzeczy do sprzedania i za tę forsę kupuję kiełbasę, masło, wódkę i jak wrócę, to mu dam coś do skosztowania.

Pewnego dnia wezwał mnie do siebie major, dowódca obozu i oświadczył, że moja służba w warsztacie skończyła się i będę odtąd pracował w magazynie amunicyjnym. Mieścił się on w jednym dużym pokoju, był tam tylko jeden żołnierz do obsługi.

Oprócz prowadzenia ewidencji nabojów i sprawdzania karabinów, do moich obowiązków należała również naprawa broni. Pracowałem bez przerwy od rana do późnego wieczora. Naprawiałem pistolety empi, karabiny maszynowe oraz cekaemy...

Dowódcą naszej grupy bojowej był Zdzisław Szewczyk, obecnie nauczyciel w szkole zawodowej. Tak trwało to 3—4 miesiące. Nasi chłopcy robili dobry użytek z granatów, które im dostarczałem. Zlikwidowali grupę SS-manów przydzielonych do Zamku[1]). Na początku kwietnia 1944 r. „Siwy" (Zdzich) dokonał ze swą grupą zamachu na jednego z katów ziemi lubelskiej, Beckera, którego rozerwały nasze granaty w chwili gdy kładł się do łóżka[2]).

Poprzednio już Kazik załatwił ze Zdzichem przyjęcie mnie do szeregów partyzantki z chwilą, gdy ucieknę od Niemców.

Po pewnym czasie Niemcy przydzielili mnie na pocztę. Coś zaczęli węszyć, widocznie już mnie podejrzewali. Codziennie jeździłem w towarzystwie jednego Niemca po gazety. Niemiec ów chciał wyraźnie czegoś ode mnie się dowiedzieć. Powiedział więc, że mu się w wojsku nie podoba i że chciałby uciec, tylko nie wie w jaki sposób to zrobić. Byłem ostrożny i odparłem, że jest to prawie niemożliwe do zrobienia, a zresztą wojna wkrótce się skończy i nie ma sensu uciekać.

Pewnego razu pojechaliśmy znów do miasta w celu pobrania poczty na stacji oraz wysłania ważnej dokumentacji do sztabu, a także załatwienia kilku spraw w śródmieściu. Wtedy właśnie uznałem że to najlepsza okazja do ucieczki. Powiedziałem więc towarzyszącemu mi Niemcowi:

— Słuchaj, pojedziemy na stację, zabierzemy pocztę, ja pojadę z tymi dokumentami do sztabu, a ty tymczasem udasz się do miasta w celu załatwienia innych spraw. Potem spotkamy się o godz. 18 przy Bramie Krakowskiej.

— Dobrze — mówi — in Ordnung.

Ja od razu pojechałem wraz z dokumentami do naszej meliny na Kalinowszczyznę, zdjąłem mundur „feldgrau" i przebrałem się w cywilne ubranie. Owego dnia chłopcy mieli odprawę. Przyjechali z lasu dwaj oficerowie, dowódcy partyzanccy „Jemioła" i „Irena". Obejrzeli z zainteresowaniem francuski empi, który przywiozłem ze sobą i wzięli go do lasu, a ja dostałem „Vis" kaliber 9 mm. Dokumenty osobiste zniszczyłem, nie były mi już potrzebne. Nareszcie znalazłem się w partyzantce.

Tę noc wraz ze Zdzichem spędziliśmy w jednym z mieszkań organizacyjnych na Kalinowszczyźnie. Nazajutrz poszedłem wraz z Kazikiem w pobliże Munitionslager, by się dowiedzieć, co hitlerowcy przedsięwzięli po mojej ucieczce. Kazik również postanowił nie wracać do junaków, trzeba więc było działać bardzo ostrożnie, żeby nas Niemcy nie rozpoznali. W odległości 100 m od Mubardzo ostrożnie, żeby nas Niemcy nie nitionslagru Kazik skręcił w lewo i wlazł na drzewo, skąd miał dobry wgląd wewnątrz lagru. Ja poszedłem dalej, aż do bramy. Po prawej stronie stał niemiecki wachman, który na szczęście mnie nie znał, po lewej jeden z junaków. Podszedłem do niego. Początkowo mnie nie poznał, więc mu powiedziałem, że jestem Piotrusiem. Wtedy, nieco zaskoczony, powiedział:

— Na apelu dziś z rana pana nie było. Niemcy oświadczyli żołnierzom, że prawdopodobnie wczoraj wieczorem porwali pana partyzanci, może nawet zabili. Powiedzieli też, że miał pan przy sobie ważne dokumenty.

Podziękowałem chłopcu za tę informację i wraz z Kazikiem udaliśmy się do miasta. Po kilku dniach dali mi towarzysze kennkartę na nazwisko „Andrzej Marcinek" i „Arbeitsbescheinigung", mogłem się więc swobodniej poruszać. Parę razy zatrzymywała mnie policja granatowa, sprawdzała dokumenty osobiste, ale jakoś dobrze mi poszło. Kiedy byłem z Witkiem na wsi w pobliżu Lublina, zatrzymali nas Niemcy. Było ich ze czternastu. Szli drogą w naszym kierunku, nie mogliśmy uciekać, bo dookoła teren był otwarty. Sprawdzili nasze dokumenty i puścili nas wolno.

Partyzancka „robota" w mieście nie była łatwa. Mój dowódca przydzielił mi funkcję obserwowania i rozpoznawania ludzi, którzy współpracowali z Niemcami i których należało likwidować za ich zdradziecką robotę.

Przypominam sobie, jak to pewnego dnia przyjechał do Lublina Ignacy Narbutt. Siedzieliśmy wówczas w melinie na Kalinowszczyźnie u jednego z członków naszego oddziału partyzanckiego i słuchaliśmy angielskiego radia. Po skończonej audycji toczyła się ożywiona rozmowa. Narbutt powiedział wówczas, że warto wysłać kilku naszych chłopców do Luksemburga, aby rozprawić się ze zbrodniarzami, zdrajcami ludu luksemburskiego, kolaborującymi z Niemcami. Była to jednak zbyt trudna sprawa, by mogła być praktycznie wykonana.

Po pewnym czasie kilku naszym chłopcom i mnie zaczął się palić grunt pod nogami. „Siwy" (Zdzicho) zdecydował wtedy, że powinniśmy wyjechać do lasu. Zabraliśmy Niemcom z „Bacutilu" przy ul. Żabiej parę koni z bryczką i pojechaliśmy do lasu przez Żabią Wolę. Wieczorem następnego dnia znaleźliśmy nareszcie nasz pluton na skraju lasu. Wkrótce nadeszła wiadomość, że duży oddział Niemców wyruszył przeciwko nam. W ciągu trzech tygodni wędrowaliśmy od wioski do wioski, maszerując w nocy, odpoczywając w dzień

1) Pisaliśmy o tym dokładnie w „Kamenie" przed trzema laty.

2) Mieszkaniec Lublina Władysław Marnowski był w tym czasie ochotnikiem czasowo przydzielonym do zawodowej straży pożarnej. I tak relacjonuje:

Grupę, do której mnie przydzielono, rozmieszczono w kancelarii cmentarnej przy ul. Lipowej. Poza dyżurującymi reszta spała na pryczach drewnianych. W nocy zbudził nas silny wybuch. Okazało się, że detonacja nastąpiła w jednym z domów przy ul. Szopena (pomiędzy ul. Konopnicką a al. Zygmuntowską, tzw. Nową Drogą). Pojechaliśmy wozem strażackim na miejsce. Z okien mieszkania na II piętrze wydobywały się płomienie. Po przybyciu na miejsce stwierdziliśmy obecność wozów z Centrali przy kościele św. Ducha. Pożar stłumiono. Pokój był kompletnie wypalony, okna wyrwane, ani śladu mebli drewnianych. Pozostało jedynie żelazne łóżko siatkowe. W kącie pokoju leżało zwęglone ciało. Rzucało się w oczy charakterystyczne zgięcie i podkurczenie w dużych stawach kończyn. Trup robił wrażenie kurczaka upieczonego na rożnie.

Dokończenie na str. 13

DEBIUT

Artur Daniel Liskowacki

ODBLASK

brodzimy po kostki we wspólnej krwi
ty wojujący słowem
i ja wojujący cieniem
opadasz z sił — napełniasz usta ziemią —
pochylasz się nad różą sylwetą drzewa zdartą łuską
słaby i przejrzysty jak ona

nie znajdujesz bram — zatrzaskują się furtki
krew leje się z rozdartego brzucha nieba
brodzimy w niej umazani oprawcy
ty wojujący cieniem
i ja wojujący słowem — —

umykają — kryją się w wysokiej trawie
oglądając z dumą nabrzmiałe żyły
z których już nikt nie utoczy krwi.

Fot. J. H. Kowalewski

ZAPOMNIENIE. MOTYW I

zapomniani poeci zapomnianych wierszy
wasze tomiki są jak wyspy
do których nie sposób dopłynąć
za głęboko — za wielkie odległości
między sercem a sercem

nie sięgnie do nich żadna ręka
żaden wzrok nie podpali ich stronic —

za głęboko — za wiele mielizn
za wiele płycizn (jak osądził krytyk)

Zapomniani poeci wiedzą o tym wszystkim
nie razi ich to — nie płaczą
popijają gorzkie liście
a potem idą pisać
zapomniane poematy o miłości
śmierci
i zapomnieniu —

Zamieszczamy rozmowę z niedawno zmarłym wybitnym naukowcem prof. Juliuszem Starzyńskim, historykiem i krytykiem sztuki, członkiem PAN i wieloletnim dyrektorem Instytutu Sztuki, a jednocześnie wiceprezesem Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki AICA. Nagła śmierć pokrzyżowała wiele ambitnych i wybiegających w przyszłość zamierzeń tego sławnego naukowca, którego związki z Lubelszczyzną były ostatnio bardzo bliskie. Nasz wywiad jest chyba jednym z ostatnich, publikowanych w prasie polskiej.

OSTATNIA ROZMOWA Z PROF. JULIUSZEM STARZYŃSKIM

Z PROF. Juliuszem Starzyńskim laureatem Nagrody Państwowej I stopnia w 1974 r. rozmawiałam w czasie jego bytności w Nałęczowie jesienią ub.r. Niestety, nie zdążył już on autoryzować tego wywiadu.

— Może zechce Pan Profesor przypomnieć, jak dawne i bliskie są Pana związki z Lubelszczyzną i jej zabytkami?

— Mam tu na Lubelszczyźnie kilka spraw, które mnie zajmują od lat. Kościół Dominikanów, a zwłaszcza obraz Sądu Ostatecznego, podziwiałem jeszcze jako młody historyk, a mój kolega zachwycał się wówczas freskami w kaplicy zamkowej. Interesuje mnie bardzo kościół w Gołębiu. Boleję nad jego zniszczeniem, ale mam już pewne plany odbudowy.

Muszę przyznać że Lubelszczyzna jest terenem zabytkowo fascynującym. Tu ścierają się wpływy północy i południa, wschodu i zachodu. Tutejszy pejzaż mnie urzeka. Nałęczów to cudowna miejscowość, bogata nie tylko w walory klimatyczne, ale i reminiscencje literackie. Choćby jako dokument także twórczości Witkiewicza, którego znałem zresztą osobiście. Był to człowiek, który wychodząc daleko poza architekturę, rozumiał, że nowoczesność w sztuce jest w ścisłym związku z tradycją. To, co najcenniejsze w zabytkach Lublina, Kazimierza — to odrębność naleciałości tego, co z różnych terenów tu przetransponowano. Tę odrębność odczytuje się tu szczególnie mocno. Odczuwam to zwłaszcza gdy jestem w Lublinie — barok lubelski, resztki gotyku. Albo Gołąb — dotknięty opływową linią renesansu, nawiązującego do późnego baroku. Cudowny domek loretański niezmiennie mnie zachwyca. Byłoby niepowetowaną szkodą, gdyby ten bezcenny zabytek miał ulec całkowitemu zniszczeniu i dlatego interwencja jest tu konieczna. Jestem już na tropie jego historii. Kto wie, czy nie będzie to praca mego życia?

— Pana związki ze sztuką, o ile mi wiadomo, miały początkowo inny charakter. Brał Pan udział w pracach Instytutu „Reduty"...

— Teatr odgrywał ogromną rolę w różnych okresach mego życia, zresztą także i w późniejszym spojrzeniu na sztukę. Dla mnie wszystko do dziś jest teatrem. W przestrzeni żyją: słowo, gest, myśl. Wierzę w jedność sztuki. Teatrem interesowałem się zresztą bardzo wcześnie. Brałem czynny udział w pracach teatru szkolnego we Lwowie. Po maturze znalazłem się w Warszawie i zostałem członkiem Instytutu Reduty. Spotkałem tam ciekawych ludzi: M. Limanowskiego, J. Osterwę, A. Zelwerowicza, D. Damięckiego, K. I. Gałczyńskiego, który był również przez pewien czas związany z „Redutą". Idee inscenizacyjne „Reduty" były dla mnie potwierdzeniem moich poglądów na temat ścisłych związków zachodzących między teatrem a sztuką. Z „Redutą" nie przeniosłem się jednak do Wilna: kontynuowałem studia uniwersyteckie w Warszawie — początkowo na romanistyce, a potem na historii sztuki.

— Wojna przerwała Pana pracę, już jako profesora uniwersytetu. Jakie ślady pozostawiła w Pana życiu?

— Okres oflagowy jest dla mnie bardzo ważny. Byłem w trzech obozach: w Norymberdze, Laufen i Murnau. W Murnau prowadziliśmy ożywioną działalność kulturalną. Istniał tu również teatr. Inscenizowałem i reżyserowałem tam kilka sztuk, m. in. „Pastorałkę" Schillera, „Wesele" Wyspiańskiego, „Przepióreczkę" Żeromskiego. W tej ostatniej wystąpiłem w roli Przełęckiego. W obozie istniały również orkiestry: kameralna i symfoniczna oraz rozrywkowa. Prowadziliśmy także działalność odczytową. Poza tym starałem się nie zrywać z pracą pisarską — tłumaczyłem Chestertona, pisałem wiersze i... miałem wiele czasu na przemyślenie szeregu spraw.

— Wróćmy do chwili obecnej. Pana zainteresowania artystyczne są niejako dwutorowe — synteza plastyki polskiej XIX i XX wieku, będąca w pewnym sensie udokumentowaniem odrębności, suwerenności i różnorodności sztuki polskiej, oraz romantyzm w sztuce ze szczególnym uwzględnieniem związków wewnętrznych między malarstwem, muzyką i poezją.

— Moje związki z romantyzmem datują się od bardzo dawna. Pierwszą pracą z tej dziedziny był referat wygłoszony przeze mnie w r. 1959 dla uczczenia 100 rocznicy śmierci Chopina. Od tego zaczyna się cała moja droga w sensie pisarskim na tym terenie. Studium wydano w księdze festiwalowej po francusku pt. „Delacroix i Chopin". W 1962 roku wyjechałem na czas dłuższy do Francji i zajmowałem się dalej tą problematyką. Wynikiem była wydana w 1965 roku książka „O romantycznej syntezie — Chopin, Delacroix, Baudelaire". Gdy później przez rok prowadziłem wykłady na Sorbonie, zająłem się stosunkiem Stendahla do sztuki. Teraz ukończyłem dość obszerne studium, które jest rozwinięciem wykładu wygłoszonego w Sorbonie: „Chopin - Baudelaire - Comparaison d'estetique". A poza tym od wielu lat pracuję nad książką pt. „Plastyka polska XX wieku". I znowu chodzi mi o syntezę, tym razem polskiej drogi do nowoczesności w sztuce. Na warsztacie mam też publikację o Picassie.

— Przed kilku laty z Pana inicjatywy odbył się w Warszawie kongres międzynarodowy Stowarzyszenia Krytyków Sztuki (AICA) którego jest Pan wiceprezesem. Wzięło w nim udział wielu najwybitniejszych historyków sztuki z całego świata.

— Kongres pod hasłem „Teatr, sztuka, narody i świat" był niejako podsumowaniem dociekań nad różnorodnością tradycji poszczególnych krajów, wynikającym z różnego przebiegu dziejów ich kultury. Dla nas zaś był szczególnie doniosły, gdyż przyczynił się do uświadomienia środowiskom z całego świata naszej współczesnej obecności w sztuce i dorobku twórczego, który ekscytuje wielu krytyków i historyków na świecie. Tej prezentacji służą też wystawy sztuki krajów socjalistycznych (wystawa w Moskwie, której byłem komisarzem, wzbudziła niezwykłe zainteresowanie). Obecnie przygotowuję nowy kongres AICA, który odbędzie się w Krakowie, Wrocławiu i Warszawie, a poświęcony będzie trudnej problematyce: relacjom sztuki, nauki i techniki jako czynnika rozwoju społecznego naszej epoki.

— Zakres prac kierowanego przez Pana Instytutu Sztuki PAN ma być poważnie poszerzony?

— Od kwietnia 1968 r. zająłem się długofalowym działaniem — konserwacją i rewaloryzacją zabytków pod hasłem: pomniki kultury źródłem świadomości narodu. Zapoczątkowane przez nas prace badawcze, słowniki plastyków, ludzi teatru, filmu stanowić będą podwaliny dalszych badań nad zagadnieniem polskiej kultury narodowej, które prowadzą różne instytuty. Zadanie pierwszoplanowe to inwentaryzacja zabytków sztuki. W obecnym tempie prace nad tym trwałyby jeszcze 30 lat, chcemy je wykonać w ciągu 10-12.

— Nawiązując jeszcze do poprzedniego kongresu AICA, chciałabym prosić Pana o wyrażenie swego osobistego poglądu na bardzo kontrowersyjną dziś sprawę. Ostatnio daje się zauważyć coraz większy rozdźwięk między sztuką nowoczesną a jej twórcami. Właściwie można mówić o głębokim kryzysie w stosunkach między odbiorcą a twórcą sztuki.

— Zastanawiam się, czy na drodze eksperymentatorskiej twórcy nie zagubili roli wychowawczej sztuki. Martwi mnie także, że komercjalizacja przysłania zasadniczą rolę sztuki — rozwijania wartości człowieka przez sztukę. Pewien kryzys tkwi zatem nie w sztuce, ale w pewnych grupach twórców. Takiego pojęcia jak awangarda — jeśli mam być szczery — nie używam. W każdej epoce jest grupa artystów prawdziwych, wybiegających naprzód i to jest awangarda, a nie ci, którzy sami o sobie krzyczą: „My jesteśmy awangardą". Stwierdzam poza tym, że rozdział pomiędzy odbiorcą a twórcą awangardowym nie istnieje, jest fikcją. Prawdziwa sztuka trafia do ludzi, trzeba tylko znaleźć do nich klucz. Robiłem eksperymenty z robotnikami. Drażniła ich deformacja, której nie mogą zrozumieć, natomiast to, co jest związane z konstrukcją, a więc abstrakcja, trafia do nich bez trudu. Oczywiście wypracowanie nowej funkcji społecznej sztuki nie jest łatwe.

— A jaki jest Pana pogląd na konserwację zabytków? Przecież pana Instytut i te funkcje będzie niejako nadzorował, koordynował...

— Przy konserwacji trzeba wychodzić z założenia, że zabytek żyje wówczas, gdy jest człowiek, który nim żyje. Inaczej jest tylko symbolem płaszczyzny, kształtu itp. My, jako Instytut, uważamy — i ta tendencja w Polsce doczekała się pełnego poparcia władz — że każdy zabytek musi mieć swoją funkcję, niekoniecznie muzealną, być w nowym układzie społecznym narzędziem edukacji narodowej i świadomości. To decyduje o wielu sprawach, nawet o porządku w danym regionie. Tymczasem, jak dotychczas, niszczy się stare parki, wycina stare drzewa (exemplum Nałęczów). Są to bardzo niebezpieczne poczynania, jeśli sobie uświadomić, ile potrzeba czasu, by powstał nowy park. Poza tym zieleń, drzewa mają kolosalne znaczenie dla zachowania środowiska i walorów klimatycznych.

Trzeba dążyć do tego, aby rewaloryzacja odbyła się w duchu epoki, w jakiej to dzieło powstało i wzbogacać je nowymi treściami. Niektóre z zabytków czy zabytkowych miejscowości dawały inspirację dziełom sztuki.

Rozmawiała **Krystyna Mrozińska**

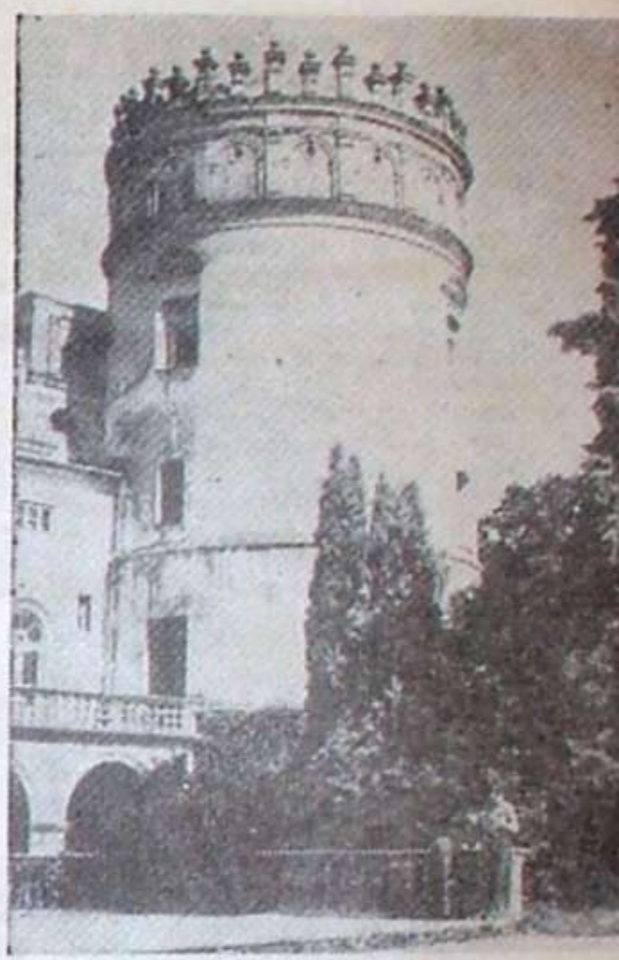

Baszta szlachecka zamku

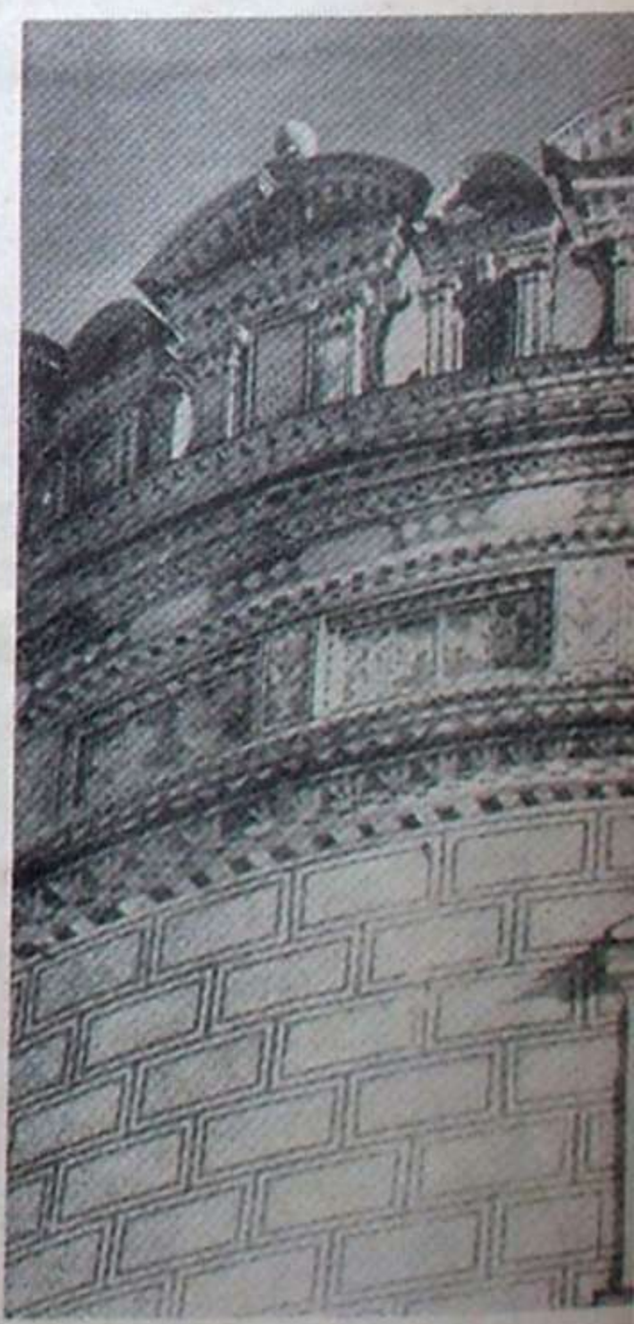

CZYN

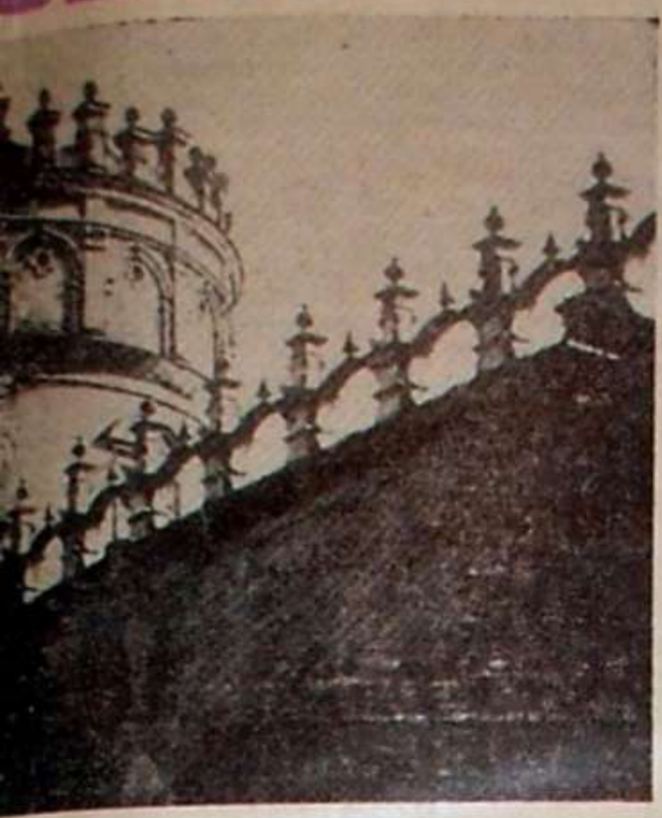

tryptyk

Baszta królewska

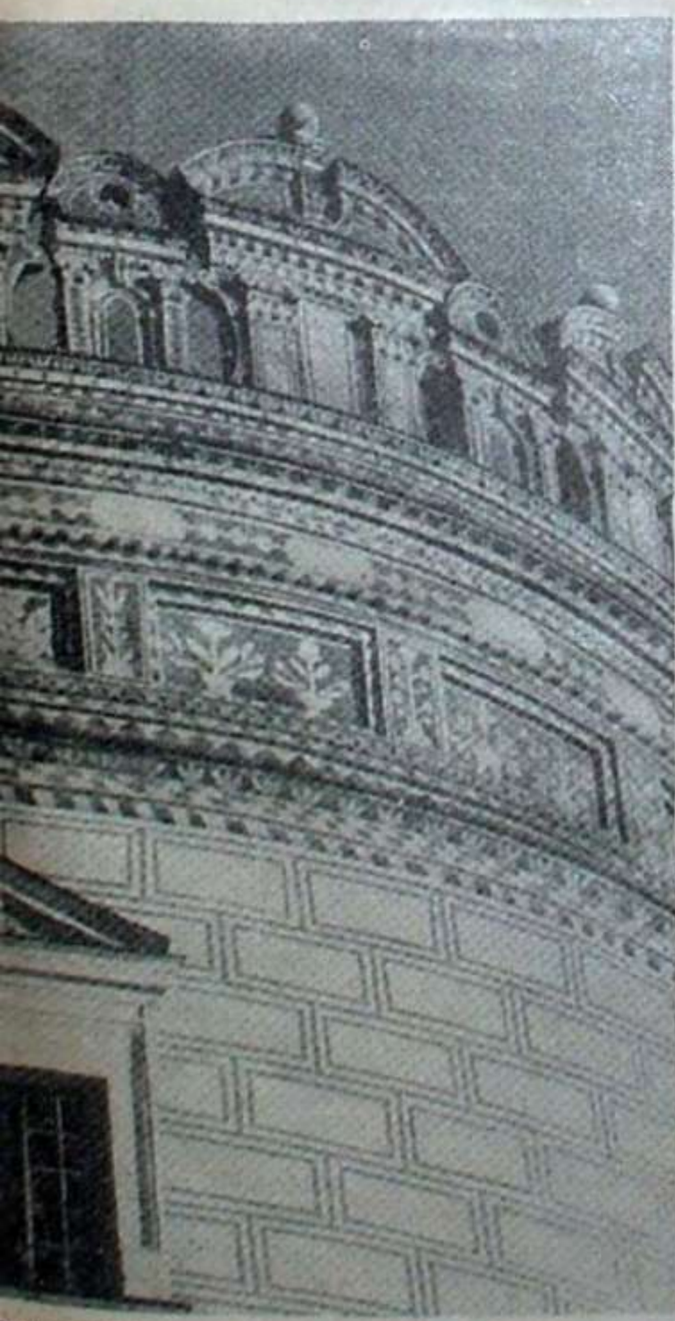

asta papieska

Fot. J. Mendychowski

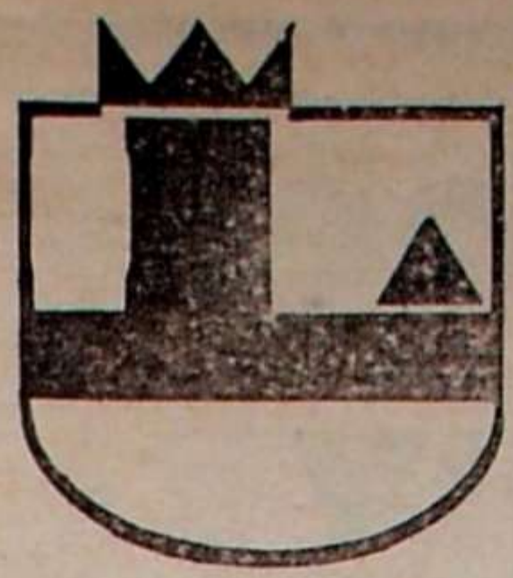

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW LUBLINA

O pomniku „szwedzkim"

Henryk Gawarecki

PRZY ul. K. Jaczewskiego, od strony dawnego szpitala św. Jana (ob. szpitala miejskiego), stoi — jakby zapadnięty w otaczający go dookoła teren — oryginalny w kształcie pomnik. Jest to trójścienna piramida, wystawiona na trójbocznym cokole. W elewacji frontowej cokołu znajduje się czarna żeliwna płyta z napisem: *Poległym żołnierzom polskim w bitwie ze Szwedami pod dowództwem P. Sapiehy wojewody wileńskiego z 1656* i mniejszymi literami: *odnowiono w 1910 roku.* Sama płyta oraz kształt i układ wypukłych, o brzydkim kroju liter wskazują, iż została ona odlana zapewne w 1910 roku.

Wśród historyków zajmujących się dawniej przeszłością naszego miasta istniały różnice zdań co do okoliczności, w których pomnik ten został wystawiony.

Zachęcało to do podjęcia badań archiwalnych oraz archeologicznych i architektonicznych pomnika. Jak na razie — nie natrafiono jednak na przekazy archiwalne dotyczące pomnika. Natomiast Seweryn Zenon Sierpiński w „Obrazie miasta Lublina" wydanym w 1839 roku, tak pisze *„...Za rogatkami lubartowskimi jedna nieforemna mogiła, z murowaną figurą bez napisu, widać z niej wiele kości, ma być w czasie powietrza w Lublinie usypana".* Następną chronologicznie wiadomość o pomniku znajdujemy w „Kurierze Lubelskim" w nr. 67 z 1875 roku. Osoba podpisująca się „N" zwróciła się do redaktora z prośbą o informację co to jest za pomnik. Opisuje go przy tym dokładnie stwierdzając, że jego część górna jest poszczerbiona przez czas. W niecały miesiąc później gazeta zamieściła obszerny artykuł Władysława Kornela Zielińskiego, autora „Monografii Lublina", który tak pisał: *„...Pamiątkowy ten pomnik datujący się od 200 lat przeszło, dziś opuszczony, obdrapany i poczynający się rozsypywać, stanowi jedną z pamiątek Lublina, dlatego też należałoby uchronić go od zupełnej zagłady. Odnowienie pomnika tego i otoczenie go chociażby tylko barierką z żerdzi — wielkich kosztów za sobą pociągnąć nie może, a da świadectwo mieszkańcom grodu naszego, iż pamiątki szanować umieją."* Zieliński stwierdził, iż mocno już zniszczony pomnik nie jest ogrodzony. A tymczasem, obecnie otoczony jest on niskim murkiem, równoległym do boków cokołu.

I jeszcze jeden opis pomnika z 1889 roku. W latach tych mieszkał w Lublinie Seweryn Liniewski, dawny właściciel wsi Lejno, uczestnik powstania 1863 r., który na stare lata postanowił spisywać swoje pamiętniki. Otóż pod datą 14 czerwca 1889 roku czytamy, iż Liniewski udał się na zwiedzanie wsi Lemszczyzna i że tam przy drodze widział figurę i pomnik stary murowany, bez żadnych odznak religijnych, trójścienny na podstawie, zakończony także trójściennym ostrosłupem, bez napisów. Sięgnijmy wreszcie do wiadomości, której autorem był wybitny znawca dziejów Lublina — Hieronim Łopaciński. W „Encyklopedii Staropolskiej" Zygmunta Głogera Łopaciński był autorem hasła „Pomniki polskie". Znalazł się w nim również passus o pomniku na Lemszczyźnie: *„Podobno pomnik ten wzniesiony został przez Szwedów na uczczenie pamięci ich pułkownika, który tu w 1656 r. zginął w bitwie z Pawłem Sapiehą. Czy raczej nie na pamiątkę klęski zadanej tu Szwedom pomnik ten wzniesiono?..."*

Podane tu wiadomości historyczne o pomniku należałoby jeszcze uzupełnić stwierdzeniem, iż w „Przewodniku po Lublinie" M. A. Ronikierowej wydanym w 1901 r., przy opisie pomnika umieszczona jest jego fotografia. Widzimy na niej istotnie pomnik w nie najlepszym stanie: ze ścian odpadają tynki, cegły gzymsów są poszczerbione, na ścianie frontowej nie widać istnienia tablicy bądź napisu.

By wyjaśnić wątpliwości dotyczące przeznaczenia pomnika, należało sięgnąć do historii działań polsko-szwedzkich w 1656 roku na terenie Lublina. Współczesny tym wydarzeniom Wawrzyniec Rudawski w „Historiarum Poloniae ab axcessu Wladislai IV od pacem alivensem" stwierdza, iż gdy wojska litewskie pod wodzą Pawła Sapiehy zbliżały się do Lublina, broniąca go załoga szwedzka składała się z 600 Lapończyków pod wodzą Polaka Suchodolskiego. Zastąpił on zmarłego w tym czasie z ran Szweda, hrabiego Wolmara. Suchodolski, widząc przewagę wojsk litewskich poddał się, załoga złożona z Lapończyków wycięta została w pień. Natomiast ciało zmarłego dowódcy Wolmara wydano Szwedom za znacznym okupem.

W świetle tych wiadomości odpadałaby wersja, że pomnik wystawiono na grobie pułkownika szwedzkiego. Można by zatem przyjąć drugą wersję, iż pod pomnikiem pogrzebano poległych w walce ze Szwedami żołnierzy polskich. I tu jednak budzą się wątpliwości, gdyż ciała zmarłych zostałyby zapewne zabrane do miasta celem pochowania na jednym z przykościelnych cmentarzy. I jeszcze jeden szczegół, co do lokalizacji pomnika — wojska Pawła Sapiehy zbliżały się do Lublina od północy, tj. traktem lewartowskim; przy samym Lublinie mogły się posuwać drogami bocznymi i jedną z nich, prowadzącą ku szańcom otaczającym miasto od północy, była właśnie obecna ulica Jaczewskiego.

W tej sytuacji należałoby sięgnąć do badań archeologicznych, dzięki którym można się było spodziewać rozstrzygnięcia szeregu kwestii. A jakie były ich wyniki? Niestety, w czasie badań nie natrafiono na charakterystyczne, datujące zabytki archeologiczne, nie otrzymano również odpowiedzi na pytanie co do czasu i okoliczności wzniesienia pomnika. Z poczynionych obserwacji można było stwierdzić, iż brak jest pewnych podstaw do wiązania początków pomnika z połową XVII wieku.

Dalsze ustalenia przyniosły badania architektoniczne, w czasie których rozpoznano materiał, z jakiego wybudowany został pomnik. Wyniki były zaskakujące; okazało się bowiem, że fundamenty pomnika i muru ogrodzenia wykonane zostały z tej samej cegły łączonej tą samą zaprawą wapienno-cementową. Część fundamentowa pomnika stojąca na calcu jest monolitem, a więc odpadły możliwości szukania w niej, lub pod nią, resztek pochówku, czego można by oczekiwać. Trzon części naziemnej pomnika również wystawiony był z twardej klinkierowej cegły, nie wykazującej poważniejszych zniszczeń czy wykruszeń. Zarówno pomnik jak i ogrodzenie otynkowane zostało tym samym tynkiem cementowo-wapiennym.

Fot. T. Piasiński

Obserwacje te i stwierdzenia prowadzą do jednego narzucającego się wniosku. Niezależnie od przeznaczenia i czasu powstania pomnika — w XVII czy XVIII wieku — nie jest on ową oryginalną budowlą, a jedynie makietą pomnika, wystawioną na nowo, od fundamentów, około 1910 roku.

Czy obecnie oglądany pomnik jest dokładną kopią poprzedniego? Fotografia z około 1900 roku nie wykazuje różnic i wydaje się potwierdzać dokładne powtórzenie bryły pomnika. I jeszcze jedno pytanie: czy postawiono go w tym samym miejscu, gdzie stał poprzedni? Odpowiedź jest raczej przecząca, bowiem w czasie wykonywania wykopów archeologicznych nie znaleziono znaczniejszych uwarstwień i pozostałości po ewentualnej rozbiórce pomnika poprzedniego. Odnosi się wrażenie, że kopię starej budowli wystawiono w innym miejscu. Pozostałaby zatem jeszcze możliwość poszukiwania lokalizacji pierwotnego pomnika w sąsiedztwie istniejącego. Te wszystkie rozważania nie zakończone ostatecznym ustaleniem wskazują, jak dużo jeszcze mamy do zrobienia w rozpoznaniu zabytkowych obiektów Lublina.

Kamena str. 9

Żywiec Beer Show

Mirosław Derecki

Jerzy Beer
Fot. M. Polski

CZY nie zakrawa trochę na czarną satyrę fakt, że jedynym człowiekiem, który od lat konsekwentnie ratuje honor lubelskiego humoru, jest lekarz psychiatra?

„Życie jest kabaretem, więc do kabaretu wstąp!" — śpiewa z gorzką ironią Elsa Minelli. Cóż, można i tak! Ale w przypadku doktora Jerzego Beera rzecz wygląda inaczej: kabaret stał się jego życiową potrzebą. Trudno by mu chyba było żyć i pracować bez tej odrobiny humoru, zabawy, kpiarskiego, choć ciepłego spojrzenia na świat, jakie propaguje niezmordowanie z wysokości swojej estrady.

Na dziesięciolecie istnienia kabaretu „Mixtura" działającego przy abramowickim szpitalu, kabaretu, którego jest założycielem, reżyserem, aktorem, a gdy zajdzie potrzeba również autorem tekstów i piosenek, Jerzy Beer przygotował spektakl zatytułowany „Żywiec Beer Show", zawierający ekstrakt dotychczasowych trzynastu programów „Mixtury". Ale to jeszcze nie wszystko. Program stanowi przy okazji przegląd najlepszych numerów kabaretowych Beera z okresu jego nieprzerwanej dwudziestoletniej działalności na lubelskich scenach i scenkach.

Przy swoich niewątpliwych zdolnościach aktorskich i ogromnej vis comica mógł Beer w swoim czasie — zachęcany zresztą przez profesora Bardiniego — porzucić studia medyczne i szturmować progi szkoły aktorskiej. Mógł także w najcięższym okresie życia przejść na niezgorzej płatny chleb prowincjonalnego, estradowego chałturszczyka. Inaczej mówiąc, miał wszelkie dane po temu, żeby się wybić na scenie zawodowej, albo też żeby się bezpowrotnie zmarnować. Na szczęście wybrał drogę natrudniejszą: pogodzenie życiowego hobby z życiowym powołaniem — medycyną. W przyszłości ta decyzja miała zaowocować sukcesami w pracy zawodowej i odznaką — Zasłużony Działacz Kultury.

Jurek prawie się nie zmienił w ciągu tych wszystkich lat, kiedy rozeszły się nasze drogi życiowe: od czasu, kiedy występowaliśmy razem na scenie lubelskiego kabaretu „Czart". Niewysoki, krępy, zwinny, pełen wigoru, z maniackim niemal uporem szlifujący każdy gest, każde spojrzenie, wielokrotnie zmieniający koncepcję próbowanej właśnie scenki, grepsu czy gagu. Czterdziestka na karku, drugi stopień specjalizacji za pasem, dzieci od dawna odchowane, a... w sercu ciągle maj. Dwa razy w tygodniu kilkugodzinna próba z zespołem, co pół roku premiera nowego programu, ciągłe wyjazdy w teren, przedstawienia w miejskich, wiejskich, fabrycznych klubach i domach kultury, udział w eliminacjach i festiwalach, około czterystu występów „Mixtury" w ciągu ostatnich dziesięciu lat... Skąd on bierze siły na to, żeby jeszcze normalnie pracować, pogłębiać kwalifikacje, spełniać obowiązki męża i ojca?

Zdolności aktorskie i reżyserskie Jurka wzięły się „same z siebie". Nie uczestniczył nigdy w żadnych kursach szkoleniowych, nie ślęczał na wykładach organizowanych przez Wojewódzki Dom Kultury dla kierowników zespołów amatorskich, teorię zgłębiał we własnym zakresie, z praktyką zapoznawał się na scenach zespołów studenckich, weryfikację instruktorską uzyskał nieomal mimochodem, na podstawie i w uznaniu jego licznych realizacji scenicznych, nagradzanych zresztą niejednokrotnie na ogólnopolskich festiwalach. Nigdy też „już od wczesnego dzieciństwa" nie marzył o zawodzie aktora, a w szkole ani mu w głowie były jakieś tam kółka recytatorskie. W rodzinie także nie było artystów. Przeciwnie. Beerowie kultywowali z dziada pradziada tradycje lubelskiego rzemiosła. Osiadli przy wielce zacnej ulicy Koziej, na wprost Bramy Krakowskiej, trudnili się piekarstwem, drukarstwem, a wywodzili się — jak to stwierdził naukowo dr Władysław Ćwik z UMCS — z grupy belgijskich kominiarzy sprowadzonych przed wiekami do Lublina.

Bez żadnych więc artystycznych obciążeń Jurek zdał maturę w gimnazjum im. Staszica i w 1954 r. równie bezkonfliktowo dostał się na medycynę. Tutaj jednak muzy zastawiły na niego sidła.

Jak to w owych czasach bywało, bez większych ceregieli został wcielony do chóru Akademii Medycznej. Nie pytano się, czy chce czy nie chce, miał dobry słuch i głos, a to wystarczyło. W tym chórze spiknął się z dwoma kolegami — Wiesławem Lipowskim i Zdzisławem Strzępkiem. Kto z dzisiejszych czterdziestolatków nie pamięta słynnego Strzępka, saksofonisty, podpory początków lubelskiego jazzu?! Ale w owym czasie Strzępek wyżywał się jeszcze na akordeonie i on też stał się wkrótce wraz z Lipowskim i Beerem członkiem trio wokalnego, które popisywało się wykonywaniem popularnego szlagieru — „Kuri, kuri, basserenia". Wtedy to właśnie ówczesny dyrektor Filharmonii Lubelskiej, Olgierd Straszyński, przepowiedział Jurkowi karierę wokalisty, która to zresztą przepowiednia nigdy się nie sprawdziła.

Ale Beer łyknął wówczas bakcyla estrady.

Zaczynała się robić moda na teatrzyki studenckie. W Krakowie działała „Piwnica pod Baranami", w Gdańsku „Bim-Bom", we Wrocławiu „Kalambur". W Lublinie w 1957 r. w Piwnicy Studenckiej na Starym Mieście powstał kabaret „Sex". Jurek Beer pełnił w nim kilka razy funkcję akompaniatora na rozklekotanym i popaczonym od wilgoci pianinie, w zastępstwie Andrzeja Zmigrodzkiego. I tam się właśnie poznaliśmy, jako że niżej podpisany występował w „Sexie" w parodii stripteasu.

Po krótkim żywocie „Sexu" lukę w studenckim żywociku teatralnym zapełnił teatrzyk Akademii Medycznej „Dren-59", który — jak sama nazwa wskazuje, powstał w... 1958 roku. Jurek Beer był jednym z założycieli „Drenu" i tutaj dopiero ujawnił się jego talent aktorski i komediowy. Zaczął również pisać teksty i komponować muzykę do niektórych piosenek. „Dren" rezydował w mikroskopijnej salce zwanej „Dziurką" mieszczącej się w budynku dawnego klasztoru przy ulicy Hempla. Reżyserią programów zajmowali się zawodowi aktorzy — najpierw Lech Skolimowski, później Daniela Zborowska, Zbigniew Czeski, a także znany z warszawskiej „Stodoły" Jan Biczycki. Trzon zespołu stanowili: Jerzy Beer, Danuta Wójtowicz, Jadwiga Rzechowska-Siedlecka, Aleksander Łuckiewicz, Jerzy Kurczab, Andrzej Czarkowski i Wojciech Zajdler. Przez krótki okres produkował się w „Drenie" Piotr Szczepanik, a w przedstawieniu „Pluskwy" Majakowskiego zabłysnął na lubelskim firmamencie studenckim Piotr Suchora. Z tej grupy Suchora i Zajdler trafili na stałe do teatru, Szczepanik na podium piosenkarskie, a Danuta Wójtowicz — nie rezygnując z medycyny — na deski estrady.

„Dren" miał repertuar bardzo zróżnicowany. Od „Nocnej rozmowy z człowiekiem, którym się gardzi" Dürrenmatta i „Pluskwy" Majakowskiego, poprzez Gałczyńskiego, aż po estradowe składanki. W ciągu pięciu lat istnienia „Dren" przygotował dziesięć programów i dał około 200 występów. Brał udział w szeregu ogólnopolskich festiwali studenckich, a ukoronowaniem jego działalności było przyznanie teatrzykowi nagrody ministra Kultury i Sztuki. W czasie festiwalu studenckiego w Gdańsku w 1961 r. tak mówił o „Drenie" jeden z jurorów, Jerzy Kwiatek: „Chciałbym zwrócić uwagę na jedno kapitalne zjawisko w kulturalnym ruchu studenckim, które na festiwalu w Gdańsku zarysowało się bardzo wyraźnie. Oto zjawia się „nowa fala" zespołów. Przygotowuje się zmiana warty. „Dren 59", „Kompleks 13", „Uwaga 61" — oto ich imiona. Urodziły się w różnych środowiskach, nie zawsze w tych z najbogatszymi tradycjami. Stanęły do rywalizacji z teatrami o sławnych imionach, bez kompleksów, jak równorzędni partnerzy..."

Z „Drenu" Jurek wyniósł spory warsztat aktorski, obycie sceniczne, a przede wszystkim specyfikę i nerw studenckiego kabaretu. Ową atmosferę kabaretów studenckich przeszczepili w znacznej mierze wraz z Danką Wójtowicz na scenę „Czarta", który zaczynał już trochę popadać w operetkowo-podwieczorkowo-przy-mikrofonową manierę. W „Czarcie" zjawił się Jurek Beer w 1960 r. w programie „Dwa dni świeciło słońce", zaprotegowany przez Dankę Wójtowicz, która już od dwóch programów była tutaj gwiazdą pierwszej jasności. Stał się z miejsca ulubieńcem publiczności, oklaskiwany szczególnie gorąco w piosenkach parodystycznych, w których wykonaniu celował. Próbował też sił w reżyserii.

Był wtedy na piątym roku studiów, właśnie ożenił się, wkrótce przyszedł na świat syn — Piotruś. Żyło im się niebogato, bo i stypendium nie było i mieszkania nie mogli dostać w Lublinie, zamieszkali więc w wiejskiej chałupie w Mętowie, dziesięć kilometrów od Lublina. Spektakle i próby kabaretu kończyły się zwykle późno w nocy, kiedy już nie kursowały autobusy, taksówka do Mętowa kosztowała dużo, toteż Jurek nie namyślając się wiele, wyruszał raźnym krokiem spod Bramy Krakowskiej i już o świcie docierał do domu.

Sytuacja mieszkaniowa poprawiła się, kiedy oboje, on i żona jeszcze jako stażyści, objęli oddział dla przewlekle chorych szpitala psychiatrycznego w Łysołajach. W pięknym pałacu senatora Popławskiego otrzymali wspaniały apartament — dwa pokoje z kuchnią i łazienką, dookoła rozciągał się stary park. Tutaj przyszło na świat drugie dziecko — Kasia.

Życie w Łysołajach byłoby absolutną sielanką, gdyby nie fakt, że Łysołaje leżą znacznie dalej od Mętowa, a pan doktor nie dał sobie wyperswadować uczestnictwa w kabarecie. Teraz dojeżdżał pociągiem do stacji Jaszczów, a następnie drałował jeszcze dwa kilometry błotnistą drogą do swojej „posiadłości". Kiedyś, śmiertelnie zmęczony, wracając z występu przespał Jaszczów i obudził się w Chełmie. Ponieważ musiał być rano na dyżurze, a żadne pociągi już w kierunku Lublina nie odchodziły, zabrał się „okazją", jadącą właśnie do Minkowic lokomotywą. Dalszą drogę, przez Biskupice do Łysołajów, przebył na piechotę.

Mieszkaniowo-kabaretowe tarapaty Beerów skończyły się ostatecznie w 1964 r., kiedy otrzymali pracę w szpitalu w Abramowicach, na przedmieściu Lublina, a wraz z nią piękne, trzypokojowe mieszkanie. Tylko, że już wtedy Jurek wycofał się z „Czarta", założył w Abramowicach własny kabaret, który początkowo nosił nazwę „Psychodraka", a wkrótce zmienił ją na „Mixtura".

„Mixtura" dała nareszcie Jurkowi pełne pole do popisu jako reżyserowi. „Stała się rzecz dziwna — mówi Beer — o ile dawniej zależało mi przede wszystkim na tym, żeby wyjść na scenę, żeby się „wygrać", o tyle teraz program przestaje dla mnie istnieć następnego dnia po premierze. Cieszę się pracą w czasie prób, cieszy mnie atmosfera przedpremierowa i... już chciałbym doznawać satysfakcji z zetknięcia się z nowymi tekstami. A kiedy program wchodzi w pierwsze próby, zaczyna mnie dręczyć myśl o następnym."

W ciągu dziesięciu lat istnienia, przez „Mixturę" przewinęło się około sześćdziesięciu osób. Występowały na tej scence salowe i pielęgniarki z abramowickiego szpitala pospołu z lekarzami, księgowymi i pracownikami kuchni. Do momentu zanim nie założyła własnego kabaretu, „Remedium", występowała w „Mixturze" Danka Wójtowicz, która też zresztą specjalizuje się w psychiatrii.

Kabaret jest jednym z najlepszych w Polsce zespołów amatorskich służby zdrowia, wielokrotnie zajmował pierwsze miejsca na festiwalach organizowanych przez Związek Zawodowy Pracowników Służby Zdrowia w Polanicy, trzykrotnie występował w Telewizji, nieraz produkował się przed mikrofonami Polskiego Radia, a w czasie Panoramy XXX-lecia reprezentował województwo lubelskie.

Programy, które zyskały dotychczas największe powodzenie i uznanie publiczności, to zestaw trzech jednoaktówek Muzy Pawłowej (w tłumaczeniu Jerzego Księskiego) — „Beethoven, nieboszczyk i inni" oraz składanka „Harce w Gorcach".

„Mixtura" jest kabaretem, który potrafił umiejętnie połączyć tradycje dawnego teatrzyku studenckiego ze specyfiką amatorskiej scenki satyrycznej działającej w środowisku pracowniczym i to stanowi głównie o jego uroku i niekonwencjonalności. Dla Jurka Beera jest zaś chyba dodatkowo pomostem przerzuconym w stronę „Drenu 59" i „Czarta", między czasem młodości i czasem wieku dojrzałego.

A co przyniesie przyszłość? Prawdopodobnie mnóstwo kłopotów. Podczas ostatniej próby pojawiła się na estradzie „Mixtury" jedenastoletnia córka Kasia i zażądała kategorycznie: „Tato, daj mi rolę!"

Oto, do czego doprowadziłeś Jurku, swoim postępowaniem!

Kamena str. 10

NARODZINY RAZ JESZCZE...

Tadeusz Jasiński

NIE umiem sobie powiedzieć, jak i kiedy naprawdę się urodziłem. Nie potrafiłbym tego wyjaśnić nikomu, kto by mnie o to zapytał gdyby chciał się dowiedzieć, jak powstałem taki, jaki jestem. Umiałbym tylko odpowiedzieć, że było to w roku tysiąc dziewięćset osiemnastym, a może nawet wcześniej, bo tego dokładnie nie wiadomo. Nie o te narodziny jednak mi chodzi, nie o nie wciąż zapytuję siebie. Japończycy liczą wiek człowieka od chwili poczęcia go przez rodziców w miłosnym uścisku i zespoleniu, a nie od momentu kiedy rodzi go matka. Ale i oni są w błędzie. Prawdziwa data stania się człowiekiem jest prawie niemożliwa do ustalenia, i właśnie ja jej odszukać w sobie nie zdołałem. Może więc jeszcze się nie rozpocząłem, może nadal trzeba mnie obliczać starym sposobem, czyli od chwili w której z ulgą wydaliła mnie z siebie matka? Nie wiem. Doprawdy. Szukam swego początku w chwilach szczęśliwych, dociekam siebie w momentach boleści i opuszczenia. I nie znajduję, z całą, ale to z ostatecznie zupełną pewnością, nie potrafię siebie odnaleźć.

Rys. E. Ingfot

Nie wiem też, czy rodziłem się tylko raz. Nie wiem tego i to również mnie gnębi. Ci, którzy mnie znają, ani myślą doszukiwać się czegokolwiek poza metryką. Ona im wystarcza, jest dla nich jedynym świadectwem. A przecież dobrze wiem, wiem to najlepiej, że tamten papierek jest śladem najbardziej utrwalonym w innych ludziach, ale nie we mnie. Czasem zaprzeczam sobie, bo odczuwam swój wiek, a nieufność do papierka odmłodzić mnie przecież nie może.

Od uczonych w piśmie dowiedziałem się, że współczesny Polak żyć może siedemdziesiąt dwa lata. Zobaczyłem siebie wspinającego się przez trzydzieści sześć lat po słonecznej stronie wielkiej, spiczastej góry. Prawie biegiem. Ktoś z boku wołał biblijnie: oto ten idzie skacząc po górach, przeskakując pagórki! Szedłem rączo. Biegłem skokami młodego jelenia, zdążałem na szczyt. Spieszyłem tam łapczywie, z taką zachłannością, jakbym jeszcze wiele miał do pokonania i zaznania. Galopada, głupia i zgubna galopada! A kiedy tam stanąłem, rozejrzałem się wokoło i raz jeszcze spojrzałem na ślady przebytej drogi. Słabo były zaznaczone, bo biegłem ledwie dotykając skał i warstewek ziemi tu i ówdzie zarośniętych zielenią.

Nie długo tak wytrzymałem. Stałem przecież na iglicy owej góry, a ta boleśnie mi przypominała, że czasu wstrzymać niepodobna, że i biegu mojego nie wolno mi hamować. Dopiero wtedy ta myśl przebiła się przez inne, a minęła już mi wówczas połowa naznaczonego przez uczonych żywota. Zaraz ujrzałem przeciwną stronę wielkiej gory. Była cienista i zimna. Wszystko we mnie tężało, mroziło. Odpychało. Pragnąłem się cofnąć, obejść górę słonecznym stokiem, albo zejść po prostu z powrotem tym samym ledwie zaznaczonym śladem, byle znaleźć się znowu u początku przebytej już drogi, byle paść u podnóża i wolniej, rozważniej wchodzić znowu ku niebu. Jednak jakaś przemożna siła nie pozwalała mi na ten powrót. Coś mówiło mi:

— Tak, zejdziesz w dół, ale schodzić musisz cienistą stroną. Nie ma w życiu powtórzeń, chociaż niektórym się zdaje, że stąpać mogą tymi samymi ścieżkami.

I oto począłem odwracać się posłusznie na granitowej iglicy, obracać się plecami do jasności i wahając się podniosłem prawą nogę, by zrobić pierwszy krok w cieniu. Ale i to okazało się niemożliwe. Znowu zwróciłem się ku Słońcu i tak zapatrzony zacząłem się cofać. Szedłem chodem raka, szedłem opornie, niezdarnie, aż do tego przywykłem. Chociaż nie odwróciłem do dziś twarzy, przyzwyczaiłem stopy do przeciwnego naturze chodu. Sam już nie wiem, czy kiedykolwiek moje palce u nóg zwrócone były inaczej niż obecnie.

Schodzę wciąż niżej, chociaż kroki czynię centymetrowe, byle tylko opóźnić zanikanie widoku słonecznej strony góry. Ogarniam wciąż jeszcze, jak z okna wielkiego domu, horyzont najbliższy. Wchłaniam oczami silną nadal jasność młodości, ale stanąłem w cieniu i nie może mnie już nic z tamtej strony ogrzać, bo więcej nie promieniuje, a pewnie jest już tylko dalekim odblaskiem.

Schodzę więc tak twarzą i całym ciałem zwrócony ku tamtej stronie, którą przebyłem, a uformowanymi już odwrotnie stopami odchodzę w dół.

Kiedy obniżyłem się już tak daleko, że brodą sięgałem znowu szczytu, odczułem, że nadziewam się gardłem na kamienną iglicę. Wydawało mi się, że za chwilę przebije mi ona krtań i wnet nieodwołalnie zawisnę na niej w taki sposób, jak zawieszają gęsie szyje, albo jak wędkarze nadziewają złowione ryby. Na próżno znowu próbowałem przystanąć, wstrzymać straceńczy marsz. Schodzę coraz niżej aż przesłoni się wszystko, co przedtem miało dla mnie radosny sens, co rozświetlało bieg ku górze mego życia. Tylko po jej stokach, jak aureola świętych jeszcze jaśnieją ochłapy jasności, ale oznaczają rozległość gronia i szerokość cienia wyznaczającego mi drogę. Wciąż idę ku szerokiej podstawie. Zdążam możliwie najwolniej.

Czasem zdaje mi się, że widzę dawno zapomnianą jasność młodości. Przenikam wtedy obłość góry, znoszę jej nieprzenikalność, patrzę jak przez grubą szybę i popadam w nowe ułudy. Ktoś inny we mnie, kiedy indziej naro..., z innej przyczyny poczęty, podszeptuje mi, że to, co sobie przedstawiam, jest prawdą i zmyśleniem wymieszanym na przemian, że od cienistej strony życia nic już nie widać z czasu słonecznego, bo przesłania go dołem kamień wciąż ogromniejszego i zaciemniającego wszystko wierchu. Jest w tobie — mówi mi — tylko dobra wiedza z czasu dzieciństwa. Jest usłużna ale ułomna pamięć po dziecku, po młodzieńcu, po mężczyźnie, który kiedyś się zaczął, ale każdorazowo kimś innym, chociaż wciąż nosił to samo imię i nazwisko. Wołano na ciebie Edzinek, Edek, mówiono wreszcie Edward Małolepszy.

— Nie jesteś już w tym cieniu nikim spośród nich, Edwardzie Małolepszy! Jesteś już własnym zmyśleniem, odbiciem tego, co w pamięci zachowała ci miłość własna. Jesteś tym, czym pragnąłbyś być, gdybyś przeżył tamten czas według twojej starczej receptury. Figlarz jesteś i kłamca! Każdy po tej stronie wielkiej góry po trosze anieleje, ale przede wszystkim karleje i dlatego starość twoja do której schodzisz, będzie pomieszaniem tego, co w ludziach jest naprawdę. Może oszukasz wszystkich dookoła, ale siebie przecież nie okłamiesz tak zupełnie i do końca, jeśli wewnątrz pozostało jeszcze chociaż trochę młodego myślenia. Nie zakłamiesz wszystkiego, bo sam zacząłeś tę spowiedź, aby się odkłamać, zdjąć z siebie przywdziewanki, ozdóbki i zakrywki, stanąć nagi i tak zobaczyć siebie od zewnątrz i wnętrza. Tak spojrzeć w siebie, jak nie potrafią inni; oni wiedzą o nas tylko to, co im sami niebacznie albo celowo o sobie mówimy. Wisła stanie się wtedy twoją rzeką Jordan, w której się obmyjesz, morze będzie miejscem oczyszczenia, solnego wyszczypania nadżerek, liszajów na twojej skórze i sumieniu. Uczyni cię gotowym do samooceny, bo nagość nie może już zwodzić.

Schodzę ciągle, ale słyszę te okrutne w sobie słowa i w takich momentach coraz bardziej dręczy mnie myśl, czy są jeszcze przede mną jakieś nowe narodziny, czy możliwa będzie może choć jedna reinkarnacja, choćby dla innych niewidoczna, czy też już wszystko rzeczywiście pozostawiłem za sobą i zmierzam tylko do kresu.

Idę. Powolnie schodzę pogodzony ze swoim losem. Chociaż wciąż mówię ludziom, że w żadne fatum nie wierzę, wyrażam nawet z pewną ulgą zgodę na jego nieubłagalność. Ślubuję sobie godnie się starzeć, ale tamtych pytań z siebie wypędzić nie potrafię i nie chcę. Są one we mnie silniejsze nad wszystko, bo w nich tli się niezagaszona całkiem nadzieja. Pomimo zgody na wszystko co przede mną a właściwie pode mną, pomimo tej rezygnacji pokornej wobec własnego losu, podsycam w sobie pojawiające się maleńkie ogniki ufności i znowu przez te chwile brnę w kłamstwie i ułudzie.

Im niżej spełzam ku podstawie góry mego życia, wydaje mi się, że u jej dołu jest coraz mroczniej. Zaczynam się wtedy bać, że moje schodzenie może zostać przerwane nagłym spadnięciem z urwistych skał w przepaść, która leży pode mną w zupełnej ciemności. Boję się, że nie będzie mi dane schodzić ku siedemdziesiątemu drugiemu latu, chociaż w podświadomości błyska mi nadzieja, że właśnie ja nie stanę się statystycznym średniakiem. Gdzieś w głębi tli się pragnienie przekroczenia osiemdziesiątki, aby osiągnąć rok dwutysięczny i spojrzeć choć trochę w twarz następnemu tysiącleciu. Przecież babcia Józefa dożyła dziewięćdziesięciu czterech lat! Gdybym ja również... gdybym...

U samej podstawy cienistej strony stanąłbym dopiero po przebrnięciu dwunastu stopni dwudziestego pierwszego wieku. Och, jaka jeszcze długa droga przede mną! Jakie nieznane przeżycia! Ile jeszcze urodzin i śmierci siebie samego? Ile przekształceń? Ile mnie w innych układach? Jednak to tylko nadzieja, a we mnie strach o przewidziane dla mnie siedemdziesiąt dwa lata, o rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty, obłędny lęk przed możliwością wcześniejszego stoczenia się w przepaść, gdzie wszystko już nieodwołalnie się skończy: nie będzie nowych narodzin i odrodzeń. Będzie tylko szelest papieru metryki w rękach krewnych i urzędników. Szelest papierów po człowieku.

W takich momentach obłędnie zapieram się odwróconymi stopami, byle opóźnić schodzenie. Przymykam oczy, aby stać się lekkim, latającym w dowolne miejsca kolibrem, widocznym tylko dla tych, którym pozwalam się zobaczyć. Umiem wtedy przemieścić się znowu w czas młodości. Ogrzać się jej słońcem. Osiąść na zielonych konarach drzew po jasnej stronie i cieszyć się tym, co przeżyłem wcześniej. Łudzić się, że przeżywam prawdziwie — nie na nowo, ale znowu według biegnącego czasu, a nie w odtworzeniu z taśmy magnetowidu. Kiedy przychodzi ocknienie, staram się choć stopom przywrócić dawny kierunek, aby nie schodzić tak dłużej twarzą zwrócony ku przeszłości, bo męczy to bardziej niż pozbawienie mirażu, którego zażywam tym schodzeniem plecami do starości. Nogi i tak niosą niepowstrzymanie w dół. Chcę przywrócić wszystkiemu naturalność, ale pozostaje we mnie to pomieszanie i nie umiem już inaczej schodzić. Jest we mnie więc ta należna starym ludziom dobra pamięć o dzieciństwie i latach młodzieńczych, o moich początkach z Grażyną i dzieciach, które mi dała i coraz trudniej mi odtworzyć wszystko co było przed chwilą, lub wczoraj, albo przed tygodniem, przed rokiem, albo zgoła przed kilkoma minutami. Sposobię się do mojej starości, chociaż wnuczęta mi mówią: dziadek Edward jest najmłodszym dziadkiem, jakiego znamy. Sposobię się, bo już dawno zobaczyłem siebie po obu stronach wymyślonej przeze mnie góry i tak tylko potrafię chwilami żyć, mocno jej uczepiony. A przecież czekam jeszcze choć jednych narodzin poprzez najpiękniejszą z miłości jakie przeżyłem, jakich zaznałem. Czekam ocieplenia serca i zamknięcia go na smutki.

Napisała mi na imieninowej karcie najwspanialsza przyjaciółka w moim życiu, dzięki której kiedyś na nowo się urodziłem i wciąż jeszcze dzięki niej piękniej niż dawniej żyję:

Życzę Ci, bądź wierny temu, co w Tobie najprawdziwsze, Maria.

Kiedy na Żuławach kierowałem meliorowaniem tysięcy hektarów mokradeł pod przyszłe łąki, odezwała się z daleka:

Cieszę się z Twego listu i z tego co pisałeś o swoich wątpliwościach, o planach w związku z nowym wielkim zadaniem, mimo że Twoja praca oddala nas od siebie. To dobrze, że boli Cię tak wiele niezrealizowanych planów. Wciąż coś Ci przeszkadza w ich szybkim spełnieniu. Te przeszkody czasem Cię uspokajają, to znów męczą. Rozgrzeszasz się nimi przed samym sobą. Lecz tak się zastanawiam, czy to przypadkiem nie Ty sam jesteś dla siebie najbardziej uciążliwą przeszkodą? Musisz skupić się na najważniejszym. To o czym piszesz winno podnosić Twoją wewnętrzną równowagę, a w każdym razie nie możesz podtrzymać w sobie tego rozdwojenia.

Kochany!

Dziękuję za list i życzenia. Rzeczywiście chciałoby się żyć w tak uroczym świecie jaki opisujesz, jaki czasem widzisz, gdy ze swego barakowozu przeczuwasz już to, co na tych osuszonych przestrzeniach stworzysz, bo w linijkach Twojego pisania znajduję też coś boskiego, coś z poczucia stwórcy. Chciałoby się, powiadam, żyć w tak uroczym świecie, ale nie koniecznie nastawionym „na własną nutę". Świat realny pozbawia jednak czasem człowieka innych nut i trudno o odpowiedź: dlaczego? Być może kiedyś te życzenia się spełnią, teraz, jak wiesz, wszystko jest u mnie szare i pisanie o tym nie byłoby dla Ciebie interesujące.

Wielokrotnie przebiegałem list słabnącymi oczami, ale wracałem do linijek, w których zawarła zarzut: *Ty sam jesteś swoją najbardziej uciążliwą przeszkodą. Musisz skupić się na najważniejszym. Bądź wierny temu, co w Tobie najprawdziwsze.*

Co jest, pytam, we mnie *najprawdziwsze?* To, że tak rozpaczliwie czepiam się jeszcze życia, nawet poprzez nią, która mogłaby być moją córką? Wczepiam się żylastymi rękami, ułapuję za ogołocone korzenie dorodnych drzew, które wgłębione między skalne szczeliny także trzymają się mocno życia. Zawisam chwilami na niewiadomym i drżę. Myśl o ostateczności jest mi coraz bardziej bolesna.

I choć tak się uczepiłem, chociaż próbuję stopom przywrócić ich właściwy kierunek, albo zwrócić się twarzą ku nie pożądanemu, przecież zstępuję w smutku, schodzę nieodwołalnie. Ale wciąż jeszcze oczekuję swoich właściwych narodzin.

Fragment powieści pt. „Bóg wezwany na rozstrzelanie"

oko-lice sztu-ki

Jesienne Konfrontacje

Edward Nadulski: Akt, olej

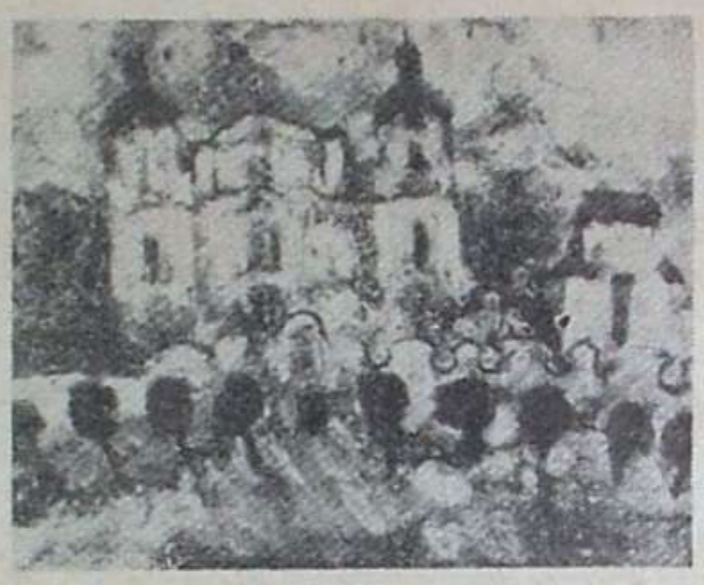

Edward Nadulski: „Pejzaż z Lubartowa II", olej

Fot. A. Polakowski

18 grudnia 1974 r. w sali lubelskiego BWA otwarto wystawę malarstwa Edwarda Nadulskiego, na której zgromadzono 40 płócien olejnych, powstałych w czasie trzech minionych lat. „Wszystkie te pejzaże, martwe natury i akty mają jedną cechę wspólną, dość zaskakującą u rasowego bądź co bądź kolorysty, co zdaje się niejako z góry zakładać afirmujący, pogodny stosunek do rzeczywistości. Przesyca je jakaś utajona nuta dramatyczna, która dźwięczy raz w płomienistym kształcie smugi barwnej, raz znowu w dominacji czerni konturu i cienia, raz wreszcie w ekspresyjnej deformacji i rozedrganiu przedmiotu. Łączy ona te obrazy z poprzednio omówionymi (o tematyce partyzanckiej i społecznej — uw. red.), nadając całej twórczości artysty specyficzną jednolitość i autentyczność" — zauważa we wstępie do katalogu wystawy Jerzy Zanoziński. Recenzję z wystawy indywidualnej E. Nadulskiego zamieścimy w następnym numerze pisma.

W RZESZOWIE czynna jest piąta z kolei ogólnopolska wystawa malarstwa „Jesienne Konfrontacje". Bierze w niej udział 37 artystów, ale 19 z nich mieszka i pracuje na terenie województwa. Można zatem powiedzieć, że Rzeszów konfrontuje swoją twórczość z malarstwem reszty kraju. Żadna inna konfrontacja raczej nie wchodzi w rachubę, co zresztą zrozumiałe, jako że np. w sferze ideologii malarstwo polskie jest spłaszczone, albo w ogóle powstaje bez głębszych motywacji ideowych, na zasadzie profesjonalnego rozpędu, sprawności manualnej. Programy, które usiłuje niekiedy klecić młodsza generacja, bywają albo bełkotliwe, albo infantylne i w zasadzie powstają ex post, funkcjonując jako wątpliwa aureola konkretnych dokonań przy pomocy pędzla i akryli.

Istnienie kilku czy kilkunastu wybitnych indywidualności malarskich raczej nie kwestionuje tego ogólnego obrazu rzeczy, podobnie jak stosunkowo częste okazje zobaczenia obrazów dobrych, malowanych rzetelnie, nawet z pewną wirtuozerią, bywa, że wyzwalających sugestywny klimat emocjonalny. Nader jednak rzadko odnajdziemy w tej twórczości sygnał ogólniejszej koncepcji świata, uformowanej drogą autentycznego uczestnictwa autora w tych sprawach, które określają status dzisiejszego człowieka, ściślej — człowieka urodzonego między Odrą a Bugiem. Malują ludzie tak, jak akuratnie wypada, jaka konwencja jest na tapecie. Do zjawisk wyjątkowych należą próby dotarcia do współczesnych uwarunkowań ludzkiego losu, do uchwycenia prawdziwej nuty człowieczej — przy pomocy „obowiązującej" właśnie konwencji. Takie uwagi są chyba uprawnione, albowiem malarstwo nasze w przeważającej części posiada charakter figuralny i niby-to usiłuje podnosić wspomniane kwestie. Czyni to jednak jakby na komendę: albo bezrefleksyjnie, albo bez głębszego przekonania do sprawy.

„Jesienne Konfrontacje" to typowa ogólnopolska wystawa malarstwa, oferująca pokaźną liczbę dobrych płócien. Organizatorzy mają prawo do satysfakcji: udało im się sprowadzić do Rzeszowa całkiem przyzwoity fragment krajowej produkcji malarskiej, który powinien zainteresować nie tylko tamtejsze środowisko plastyczne, ale i szerszą publiczność.

Jest to moment szalenie ważny w przypadku miasta, które dopiero stwarza własną tradycję kulturową. Wypadałoby w tym miejscu przypomnieć, że właśnie malarze i graficy rzeszowscy dynamizowali niegdyś ów długotrwały proces, występując początkowo — od 1955 roku — pod szyldem „Grupy XIV", złożonej z absolwentów krakowskiej ASP. To był bardzo ciekawy okres w sztuce Rzeszowa, wart trwałego udokumentowania. Modus vivendi, cierpliwie wypracowany wówczas przez plastyków i lokalne władze, choć narażony — inaczej być nie mogło — na okazjonalne pęknięcia, przyniósł trwałe i wartościowe rezultaty: uruchomienie Domu Sztuki oraz rozwiązanie problemu pracowni. Na otrzymanie pracowni czeka się w Rzeszowie nie dłużej niż rok, a bywa, że znacznie krócej. Podobno momentami pracownie czekają na użytkowników, co w naszych, lubelskich uszach brzmi wprost niewiarygodnie.

„Jesienne Konfrontacje" 1974 mogą również polepszyć samopoczucie rzeszowskiego środowiska plastycznego. Okazuje się, że po kilku latach chudych pojawiły się zapowiedzi nowej i oczekiwanej sytuacji. Kiedyś Rzeszów kojarzył się z twórczością Edwarda Kieferlinga, Zuzanny Kusek — Kud, Alfreda Kuda, Jana Maternickiego, Jerzego Majewskiego, Heleny Niemczak-Majewskiej, Renaty Niemirskiej-Pisarek, Zdzisława Ostrowskiego i Mariana Strońskiego, mieszkającego w Przemyślu. Czynny był również Adolf Jakubowicz. Latami reprezentując sztukę Rzeszowszczyzny, pracując społecznie, udzielając się w przeróżnych organizacjach i stowarzyszeniach, niektórzy z nich jakby zmęczyli się nieco i w rezultacie przy końcu lat sześćdziesiątych życie artystyczne w tej części kraju straciło początkowy rozpęd. Oczywiście, przyczyniły się do tego inne jeszcze okoliczności, ogólniejszej natury. Faktem pozostaje, że w tym czasie tylko jednostki — wyliczanie przy pomocy palców jednej dłoni wydaje się szczytem optymizmu — były zapraszane do udziału w poważniejszych imprezach plastycznych kraju. W Rzeszowie zbyt rzadko osiedlali się artyści młodzi, którzy tworzyliby naturalną i zdrową konkurencję dla starej gwardii i może dlatego zrobiło się tu miałko i nijako.

Na „Jesiennych Konfrontacjach" rzeszowianie wystąpili jako partnerzy malarzy z innych, renomowanych ośrodków. Nie przeceniam oficjalnego premiowania, rządzą nim czasem pokrętne motywacje, chciałbym jednak wskazać, że najwyższe nagrody imprezy — złoty i srebrny medal — przyznano młodym artystom rzeszowskim: Wiesławowi Tadeuszowi Wodnickiemu i Zygmuntowi Czyżowi, który po znaczących sukcesach na terenie grafiki powrócił do malarstwa. Dwa z sześciu wyróżnień otrzymali natomiast Edward Kieferling i Alfred Kud. (Jan Popek także otrzymał wyróżnienie, a jedna z jego prac wydała mi się wyjątkowo świetnym popisem zdyscyplinowania formalnego, które nieoczekiwanie otwiera drogę refleksji bodaj metafizycznej).

W Rzeszowie działają artyści młodzi, najciekawsi z nich nawiązują do nowej figuracji. Poza wymienionymi trzeba wspomnieć o Jolancie Jakimie-Zerek, autorce spontanicznie malowanych obrazów „rytmu świetlnego" oraz kaligraficznych, subtelnych rysunków, inspirowanych m. in. przez pejzaż Kazimierza Dolnego. Warto też zwrócić uwagę na Ryszarda Dudka i Jerzego Biernata, grafika. Maluje (i chętnie zabiera głos) Stanisław Szczepański, wychowanek T. Kantora, który zresztą okresowo przebywał w Lublinie. Tych młodych jest w Rzeszowie znacznie więcej, lecz na temat pozostałych nic nie można powiedzieć, albowiem popadli w tzw. sprawy życiowe. Ale to naturalne proporcje. Znów bardzo czynni są niektórzy członkowie b. „Grupy XIV". Istnieje grupa „San", skupiająca plastyków zamieszkałych w Jarosławiu i Przemyślu. Z tym ostatnim ośrodkiem związało się 20 osób, a naczelnik miasta i powiatu obiecuje im obiekt na duże pracownie. Wydaje się, że w plastyce Rzeszowszczyzny powstał taki system napięć — pokoleniowych, topograficznych, organizacyjnych — który zapewnia rozwój autentycznego ruchu artystycznego.

Na koniec dwa słowa pod adresem Jerzego Majewskiego, dyrektora Biura Wystaw Artystycznych: Czy mógłby Pan zachęcić środowisko do żywszego zainteresowania się „Wystawami Czterech Województw"?! Liczę na Pańską życzliwość i energię.

IJK

Gdy aniołkowie nosili granaty

Roman Rosiak

DO NAJSTARSZYCH zabytków, jeśli chodzi o kolędy w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, należą w Polsce dwie pieśni: „Zdrów bądź królu anielski, k'nam na świat w ciele przyszły" (1424) i „Anioł pasterzom mówił" (XV w.), przy czym ta druga jest uważana za jedną z najpopularniejszych.

Największy rozkwit przypada jednakże na wiek XVII i XVIII; powstają różne ich rodzaje, coraz częściej nasycane elementami regionalnymi, gwarą, humorem i — co warto podkreślić — zawierające wciąż silniejsze akcenty społeczne. Odejście od tej pięknej tradycji przyniósł wiek XIX, który spopularyzował znacznie słabsze artystycznie kolędy, dalekie od poziomu prawdziwych arcydzieł typu: „Bóg się rodzi", „Lulajże Jezuniu" czy „Anioł pasterzom mówił".

Również i Lubelszczyzna ma w tej dziedzinie do odnotowania spory dorobek. W naszym regionie od dawna krzyżowały się ze sobą kolędy świeckie, mające swój odpowiednik w starych śpiewach i obrzędach pogańskich, z religijnymi. Niejednokrotnie doprowadzało to do powstania bardzo nawet udanych utworów, o których, niestety, dzisiaj zupełnie głucho, a szkoda. By poznać stare lubelskie kolędy, trzeba zatem sięgać do niezawodnego w takich przypadkach Oskara Kolberga, który w I tomie „Lubelskiego" zarejestrował 11 kolęd z naszego regionu, oraz do „Lubelskiej pieśni ludowej" (Lwów 1937), gdzie spotykamy i dalsze utwory tego typu, nie licząc dawnych modlitewników i śpiewników, jak np. Mieczysława Mioduszewskiego „Pastorałki i kolędy": (Kraków 1843).

Do najciekawszych kolęd lubelskich należą: „Kolęda dziewecka" (Łubunie, pow. Zamość), „Hej nam hej" i „Poszedł Maciek po kolędzie" (Puławy), „Co się świeci w nowej sieni" (Końskowola) czy „Pastuszkowie, braciszkowie" (Dys, pow. Lublin). Niewątpliwie warto byłoby je przypomnieć, bo tak ze względów artystycznych, jak też społecznych (i — rzecz jasna — regionalnych) na to zasługują.

O renesansie kolędy — w pewnym sensie — trzeba też mówić w odniesieniu do okresu okupacji. Lubelszczyzna odnotowała rzeczywiście duże sukcesy nie tylko w walce zbrojnej przeciw okupantowi, ale też w dziedzinie twórczości literackiej i muzycznej. To właśnie tutaj w latach 1939—1944 ukazywało się ponad 100 konspiracyjnych gazet. Nie sposób wymienić redaktorów, którzy chętnie udostępniali łamy pism dla samorodnych twórców spod strzechy, ale trudno nie wspomnieć Józefa Nikodema Kłosowskiego (pseud. Lemiesz), Józefa Tłuczka (pseud. Oracz), czy Stefana Rodaka (pseud. Rola). To dzięki nim mogli przemawiać do społeczeństwa drukowanym słowem liczni partyzanccy poeci — z Janem Pockiem na czele. To dzięki nim wreszcie ponownie odżyła kolęda.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że czas świąt Bożego Narodzenia zawsze sprzyjał umacnianiu więzów nie tylko rodzinnych, ale i narodowych, przemawiał na rzecz solidarności i pokoju. Cóż dopiero mówić o latach okupacji! Poeci partyzanccy dobrze rozumieli swoją historyczną misję i dlatego spod ich piór spływały nowe teksty do melodii dobrze znanych już od lat, a nawet wieków. Teksty często zaskakujące swą oryginalnością. Bo czy można sobie np. wyobrazić Boże Narodzenie bez stajenki i choinki? Owszem, tak właśnie widział je Jan Poeck w utworze „Rok 1942":

W szczerym polu, wśród tarniny
krzaków
Zanocowała z Józefem Panienka,
Bo od kul, bomb i srogich granatów
W proch padła uboga stajenka.

Na niebie nie świeciła betlejemska gwiazda, ale pożarne łuny, zaś hołd nowo narodzonemu złożyli inni — niż dotychczas — Trzej Królowie: „Czołg, bomba i armatnia kula".

W utworze pt. „Pastorałek" kreśli poeta dzieje anioła, którego wysłał na ziemię, bo:

Chciał Bóg mieć w niebie choinkę,
Choinkę prostą i zwykłą;
Jodełkę z polskiego boru
Pachnącą piachem, żywicą...

Zadanie dostarczenia choinki z Polski do nieba okazało się jednak ponad siły Pastorałka, patrol niemiecki zabrał go z lasu na Majdanek, gdzie

stanął w szeregu,
oddał kożuszek i buty.
W zamian otrzymał pasiaki
I poszedł za czarne druty.

Tam, oczywiście, podzielił los tysięcy więźniów, ludzi-numerów. Dlatego też:

Nie miał Bóg w niebie choinki,
Jodełki z polskiego boru,
Smuciła się Matka Boża,
Płakały rzesze aniołów.

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że kolędom partyzanckim towarzyszył nastrój minorowy. „Legenda o skrzydlatym sercu" Pocka rozwiewa te wątpliwości. Wprawdzie dwóm polskim pastuszkom, Frankowi i Michałowi, Niemcy odebrali skromne dary, masło i kiełbasę, wprawdzie zamordowali nie tylko ich, ale i niewinnych mieszkańców wioski — to przecież i chłopi nie pozostali dłużni: jeden z nich „Uwalił Niemca/ Prosto w samo ciemię" i zabił.

Dziwił się natomiast Jezus, że wśród składających mu hołd zabrakło polskich pasterzy. Wysłał więc anioła na zwiady i ten odszukał ciała zabitych i w darze przyniósł wyjęte spod zgrzebnej koszuli przebite kulą serce:

A Jezus porwał
W dłonie to serce
I tulił do piersi,
I łkał serdecznie.

Płaczem nie można jednak było walczyć, dlatego też w „Postniku w Leśniczówce" Pocka widzimy zupełnie odmienny obraz. Oto partyzanci zasiedli do stołu, by połamać się opłatkiem. W tym momencie do leśniczówki weszli aniołowie z granatami za pasem, a na ich czele — Chrystus. Zrobili mu więc leśni chłopcy miejsce, poczęstowali kapustą z grzybami i racuchami na oleju, by później razem zaśpiewać:

I Chrystus z błaskiem w oczach
Chwalił stenów precyzję
I modlił się do ojca,
By stena miał każdy partyzant.

Przedstawione tu przykłady zostały zaczerpnięte z bogatego dorobku Jana Pocka. A przecież wiele utworów związanych z Bożym Narodzeniem stworzyli też jego koledzy po piórze: Zbyszek Sławian-Orliński, Józef Tłuczek, Józef Nikodem Kłosowski, Longin Jan Okoń i inni. Trzeba też pamiętać, że niemal w każdym regionie można było znaleźć twórcę, który dzielnie sekundował lubelskim poetom ludowym, jak np. Michał Basa z Kieleckiego, Piotr Krzykalski z Krakowskiego itd.

Luksemburczyk w polskiej partyzantce

Dokończenie ze str. 7

i nękając atakami grupki Niemców wycofujących się. Olbrzymie masy wojska niemieckiego przewalały się na zachód, ścigane przez oddziały Armii Radzieckiej i porzucając po drodze samochody i ciężką broń.

Wkrótce po wyzwoleniu Lublina spotkałem na Krakowskim Przedmieściu płk. Narbutta. Przywitaliśmy się serdecznie. Opowiedział mi o formowaniu 2 Armii WP i radził wstąpić do jej szeregów. Już następnego dnia zostałem jako ochotnik przyjęty do Wojska Polskiego z przydziałem do dyspozycji płk. Narbutta. Kilka dni później spotkałem Jerzego Piwowarka, który był adiutantem płk. Narbutta. Po pewnym czasie wyjechaliśmy do Mordów (pow. Siedlce), miejsca postoju 8 Dywizji Piechoty 2 Armii WP. Zastępcą dowódcy tej dywizji został właśnie płk. Narbutt.

W późniejszym czasie byliśmy jeszcze raz parę dni w Lublinie, skąd znów na dłuższy pobyt wyjechaliśmy z pułkownikiem do Warszawy. W tym czasie opanowałem już dość dobrze język polski, studiowałem nawet trochę historię Polski i bardzo mi się podobała Polska i polski naród. Gdyby rodzice moi nie czekali na mnie, byłbym zapewne pozostał na służbie w Wojsku Polskim. Gdy jednak dowiedziałem się, że cudzoziemcy wracają przez Niemcy do Luksemburga, Holandii, Belgii i Francji, złożyłem raport z prośbą o zwolnienie mnie ze służby wojskowej. Po uzyskaniu zgody udałem się do Rembertowa na punkt przesyłkowy dla repatriantów, zachowując w sercu wielki szacunek dla narodu polskiego.

Pierre Jentgen

POD PARAGRAFEM

Życie rodzinne

PIERWSZY raz ją pobił jedenaście lat temu, zaraz po ślubie, w dniu weseliska. Zaciągnął do stodoły i tam tłukł za to, że całowała się z mężczyznami, którzy jej składali najlepsze życzenia na nowej drodze życia. „Popaprańcze, z kim się całowałaś!" — syczał.

I odtąd miało być tak stale, albo podobnie. Z pięciorga dzieci, które im się kolejno urodziły, nie chce uznać trojga jako swego potomstwa. „Najduchów nie potrzebuję" — powiada. Ongiś budowano drogę obok ich domu. Zobaczył, jak kierownik budowy podwiózł jego żonę na motocyklu. Za to dostała baty. „Ten średni chłopak do kierownika podobny" — twierdzi kategorycznie. „Gwarantuję za to".

Domek pobudował do spółki z teściami, razem też zamieszkali. Ale od początku nie było zgody. Zerwał instalację elektryczną w pokoju teściów, żeby nie wypalali prądu. Przegradzał mieszkanie, drzwi zabijał gwoździami. Zarabiał dobrze jako stolarz, miał jeszcze 2 ha gruntu, ale pieniędzy skąpił rodzinie, nosił je przy sobie w woreczku. Dzieci dokarmiali teściowie, żona dorabiała szydełkowaniem, odnajmowała się do pracy u sąsiadów za miskę zupy. Kazał jej wracać do domu i tam bił. Za co? „Na zabawie tak siadła, że było jej wszystko widać, a chłopy śmieli się..." Ty stara, k... było w tym domu słowem-kluczem. W chwilach dobrego humoru mówił do niej „te". „Nawet krowa ma własne imię" — labidziła nieśmiało.

Ciągle ją podejrzewał o zdradę. Przeklinał i maltretował. Potrafił rozwalić piec we własnym domu, porąbać lalki dzieciom. Dusił żonę, kiedy była w dziewiątym miesiącu ciąży. Porozsuwał małżeńskie łóżka... Przestał upijać się dopiero dwa lata temu, kiedy po pijanemu spadł z przyczepy samochodu i doznał złamania kości podstawy czaszki oraz stłuczenia mózgu. Ale nie przestał katować rodziny. Jego nienawiść objęła wszystkich — żonę, dzieci, teściów, koleżanki żony. I tak przez jedenaście lat. Dlaczego teściowie nie dali znać na posterunek milicji, który znajdował się w tej wiosce? „Wstydziliśmy się sąsiadów" — powiadają skwapliwie. Dlaczego sąsiedzi nie dali znać milicji, choć nieraz byli świadkami, jak tłukł żonę na drodze? „A bo to jeden chłop żonkę szturnie?" — pytają. Dlaczego milicjanci we wsi nie zainteresowali się tą sprawą? Zameldowania nie było.

Wieś leży przy szosie, jest zelektryfikowana. Radio, telewizor, motocykl prawie w każdej chałupie. Niedaleko cukrownia, gdzie można dorobić. Klub „Ruchu" szerzy kulturę oraz oświatę. Domek tego małżeństwa jest murowany, z łazienką i werandą, kryty eternitem. Zabudowania gospodarskie także murowane, zmechanizowane. On ma lat 36, ona — 31. Obowiązkowe wykształcenie w zakresie siedmiu klas szkoły podstawowej — otrzymali. Oboje nie karani.

W tym momencie właściwie można by tę historię zakończyć dostatecznie wymownym milczeniem. Ale ona ma, niestety, ciąg dalszy.

13 sierpnia 1974 roku rankiem teść pojechał do młyna, a teściowa jeszcze spała. Następnie wstała żona i poszła wydoić krowy. Teraz obudził się mąż i pognał krowy na pastwisko. Wrócił około siódmej, umył się, ogolił, wyczyścił buty, włożył świąteczne spodnie i czystą koszulę. A były akurat imieniny żony. Podała mu śniadanie, zjadł. Awanturę zaczął od tego, że mu spodnie pobrudziła. Potem już to, co zawsze — dzieci nie jego, ona jest k..., teściowie się mieszają. Kobieta zaczęła wyjmować swoje rzeczy z szafy, pakowała je w tłumok, chciała opuścić dom. Może akurat tego dnia straciła pokorę, może tego ranka zdecydowała, że koniec? Wepchnął ją do pokoju, gdzie mieścił się warsztat stolarski...

Teściowa zeznała później: „Byłam akurat w kuchni i usłyszałam trzaski, jakby kto drzewo rąbał. Myślałam, że on rąbie meble. Weszłam do pokoju i zobaczyłam córkę swoją we krwi całą, leżała na podłodze bez życia, porąbana..." I tak ją znalazła milicja, martwą. Siekiera leżała pod warsztatem stolarskim. Obok ta niska, krucha brunetka ze śladami urody, matka pięciorga dzieci, z których najmłodsze liczy rok życia.

On sam przybiegł na posterunek. „Strzelajcie mnie, wieszajcie, z tą szmatą nareszcie skończyłem!" Zeznał potem, że początkowo miał zamiar popełnić samobójstwo. Wlazł nawet do studni, ale się rozmyślił. Jego ojciec skorzystał z prawa odmowy zeznań. Opinia sądowo-psychiatryczna znajduje u oskarżonego osobowość prymitywną o niskiej inteligencji, lecz w granicach normy. Miał możność kierowania własnym postępowaniem i rozpoznania znaczenia swoich czynów.

Osobowość w granicach normy. Tym gorzej!

pom

Sennik egipski

- 26 -

Osła widzieć — nieszczęście przez głupotę
Osła kupić — dłużnik spłaci swe zobowiązania
Osiwieć — zmartwienie cię czeka
Oskarżać siebie — uznasz i zrozumiesz swoje błędy
Oskarżać kogoś — będziesz powodem nieporozumień
Ospa — dostatek w domu
Ostrogi — niebezpieczne propozycje
Ostrze — kłótnia, zerwanie przyjaźni
Oświadczyny — kłopoty w sprawach miłosnych
Oswobodzić się — zadowolenie
Oszust — zawiedziesz się na własnych uczuciach
Oszczerca — dowiesz się dużo prawdy o sobie
Oszaleć — dużo radości
Oszukanym być — niespodziewany zysk
Oś — dobre obroty w interesach
Oś pęknięta — brak zaufania do ciebie
Oślepnąć — nie poznasz się na zdradzie
Otchłań — zdrada
Otruć się — zmartwienie z powodu własnej naiwności
Otyłym być — pomyślność w interesach
Otwory — zasadzka
Otwory wybijać — nieporozumienia
Owady — straty w interesach
Owca — dobrobyt
Owce strzyc — zyski
Owce paść — dobrze układające się sprawy
Owczarz — podstępny człowiek
Owczarnia — dobre przyjacielskie stosunki
Owdowieć — strata czegoś cennego
Owies dojrzały — zysk
Owies zielony — duże nadzieje
Owoce zielone — choroba
Owoce dojrzałe — dobrze układające się sprawy
Owoce zrywać — powodzenie w zamierzeniach
Owoce opadające zbierać — drobne zyski
Owocowy ogród kwitnący lub z owocami — szczęście, miłość
Ożenek — zmiana w życiu

P

Paciorki — zalotność, chęć podobania się
Paczkę otrzymać — miła niespodzianka, nowiny
Paczkę wysłać — udzielisz komuś pomocy
Paczkę pakować — zapoczątkowanie nowego interesu
Padlina — złe wiadomości
Pagórek — pogodne życie
Pajac — niepoważne propozycje
Pająk przy pracy — szczęście
Pająka widzieć — złe towarzystwo zaszkodzi ci
Pająka zabić — będą nieprzyjemności
Pajęczyna — niepowodzenie w przedsięwzięciach
Pakować — przeprowadzka, zaprowadzenie nowego ładu
Pakuły — ludzka głupota będzie powodem nieporozumień
Pal wbijać — korzystna praca
Palec, grozić — zawstydzenie
Palec skaleczyć — przykrość wyrządzona przez bliską osobę
Palec stracić — zerwanie umowy, lub zerwanie zaręczyn
Palić cygara — otrzymasz wyższe stanowisko
Palić papierosy — daremne wysiłki, strata czasu
Palących widzieć — lekkomyślne towarzystwo
Palić w piecu — spokój i zgoda w domu
Palto — uchronisz swoje sprawy
Palmy — wyróżnienie, dobrane towarzystwo
Paleta malarska — różne próby szczęścia
Pałac widzieć — tęsknota
Pałac, mieszkać w nim — powodzenie w interesach
Pałac zburzony — zdruzgotane marzenia
Pałka — odpowiedzialne stanowisko
Pamiętnik — wyświadczysz przysługę przyjacielowi
Panna młoda — radość i szczęście
Panna brzydka — niepowodzenie
Panna stara — kłótnia, złość
Pancernik — wojownicze nastroje
Pantofle — kłótnia
Pantofle podarte — niepokój psychiczny
Papier, pisać na nim — zmiana losu
Papier drzeć — nieprzyjemna wiadomość
Papier drukowany — ciekawość, intryga
Papier kupować — zyski w przyszłości
Papier sprzedawać — zawiedziesz się w obliczeniach
Papier biały — zaufanie
Papierem wycierać stół — kłótnia w domu
Papuga — będą nieprzyjemności przez zbytnią gadatliwość
Paraliż — niepowodzenie w przedsiębiorstwie
Parasol — tchórzostwo
Parasolka — pomoc w potrzebie
Para — złudne marzenia
Parowa maszyna — poważne interesy zaabsorbują cię
Park — wygodne życie
Park wieczorem — niebezpieczeństwo
Pasażer — przelotna znajomość
Pas skórzany maszynowy — ruszysz z interesami naprzód
Pasek ozdobny — dobrane małżeństwo, miłość w rodzinie
Paskiem bić — przyjazd kogoś z daleka
Pasieka — dochodowe przedsiębiorstwo
Pasierb — ciągłe niezadowolenie
Pasożyty — jest człowiek, który cię wykorzystuje
Pasta do obuwia — odwiedzisz znajomych
Pasta do zębów — niespodziewana zabawa
Pasterz — będziesz się troszczył o swe interesy
Pasterka — miłe przygody
Pastwisko — spełnienie wielkich nadziei
Pastwisko z bydłem — dobre interesy
Paszport — zatarg z przełożonym
Pasza dla bydła — więcej troskliwości dla domu

Dalszy ciąg nastąpi

kultura 1975

Literatura

● **W konkursie** na słuchowisko dla dzieci i młodzieży, ogłoszonym przez Polskie Radio, I nagrodę przyznano Stanisławowi Owocowi z Poznania za słuchowisko pt. „Na ratunek".

● **Państwowy Instytut Wydawniczy** zapowiada wydanie w roku bieżącym ponad 200 tytułów beletrystyki polskiej i obcej, opracowań monograficznych oraz esejów literackich. Kontynuowane będą wszystkie istniejące dotychczas serie. Czytelnik wyda także ponad 200 pozycji polskiej prozy i poezji, kończąc m.in. wydanie jubileuszowe „Dzieł" Żeromskiego.

● **Marianna Bocian** zdobyła „Wawrzyn Pałacyku" — nagrodę roku turniejów młodych poetów, organizowanych co miesiąc we wrocławskim klubie studenckim „Pałacyk".

● **Konkurs na poezję**, zorganizowany przez ZG ZLP i GZP WP, w kategorii dużych form przyniósł zwycięstwo Andrzejowi Zaniewskiemu z Warszawy, drugą nagrodę zdobył Ryszard Liskowacki ze Szczecina.

● **W studenckim klubie krakowskim** „Pod Jaszczurami" wznowiono turnieje jednego wiersza poetów, którzy nie wydali jeszcze książki. W grudniu spośród 17 uczestników pierwszą nagrodę uzyskał Andrzej Drożdż za wiersz „Głosolalia".

● **21 grudnia** minęła setna rocznica urodzin Tadeusza Żeleńskiego-Boya. Debiutował jako 30-letni lekarz-pediatra balladą w Zielonym Baloniku, sprowokowany felietonem Lucjana Rydla w „Czasie", który domagał się natychmiastowej kanonizacji królowej Jadwigi.

● **Francuska oficyna** „Editions Garnier" po ukazaniu się dziesiątego tomu ogłosiła zaprzestawanie wydawania zachowanej korespondencji George Sand, projektowanej na 25 tomów. Wydawca twierdzi, że brak papieru i środków na dalszą edycję, która handlowo nie okazała się opłacalna.

Teatr

● **W Tarnowie odbyła się** polska prapremiera sztuki amerykańskiego pisarza Clifforda Odetsa „Złoty chłopiec". Jest to historia o młodym bokserze, ukazująca zarazem kulisy sportu w USA. Reżyserował Ryszard Smożewski. Wykonawca roli głównej: Andrzej Bieniasz, przez 7 miesięcy trenował boks. Występują też autentyczni bokserzy z tarnowskiego klubu „Metal".

● **Od roku** w jednym z teatrów na nowojorskim Brodwayu — 3 tys. miejsc — grana jest uwspółcześniona wersja „Kandyda" Woltera. Pierwsza wersja w 1956 roku zrobiła kompletną klapę.

● **Mimo generalnej podwyżki cen biletów** o 20 proc., wszystkie sale teatralne we Włoszech w nowym sezonie są wypełnione. Np. na spektaklach „Opery za trzy grosze" Brechta sala mająca 1800 miejsc jest zapełniona całkowicie.

● **W Paryżu** odbyła się prapremiera nowej sztuki Jeana Anouilha „Mr Barnet". Dziennik „Le Monde" twierdzi, że jest to sztuka niezbyt przyjemna, autora zaś przed klęską ratują reżyser i aktorzy.

Sztuka

● **Doroczną nagrodę** Krajowej Agencji Wydawniczej RSW Prasa-Książka-Ruch (dwudziesta z kolei), przeznaczoną dla młodych plastyków za najlepszy plakat polityczny roku, zdobył Jan Kotarbiński z Warszawy za projekt plakatu pt. „Nigdy więcej faszyzmu i wojny".

● **We wsi Grzybnica pod Koszalinem** odkryto wielkie cmentarzysko z okresu rzymskiego z II-III wieku p.n.e. Zostanie ono zachowane jako rezerwat archeologiczno-przyrodniczy.

● **W Kruszynianach** na Białostocczyźnie powstaje muzeum tatarskie. Mieszkańcy okolic dostarczyli wiele cennych eksponatów.

● **W paryskim muzeum sztuki** dekoracyjnej odbyła się wystawa 200 plakatów radzieckich.

● **Jean Effel** (Francois Lejeune) ma już w swoim dorobku 15 tys. rysunków znanych w całym świecie oraz około 100 ilustrowanych książek. Obecnie przygotowuje piąty tom „Stworzenia świata" zatytułowany „Opowieść o Adamie i Ewie".

● **W Duesseldorfie** otwarto muzeum im. H. Heinego — w 177 rocznicę urodzin poety. Tamtejszy uniwersytet wciąż wzbrania się przyjąć jego imię.

● **W zachodnioniemieckiej miejscowości Leinfelden** otwarto największe w Europie muzeum kart do gry. Zebrano tam 10 tys. kompletów i 300 tys. pojedyńczych kart, a w bibliotece 3 tys. pozycji, wiążących się z różnymi grami w karty.

● **W hinduskim stanie Kerala** odkryto podziemną galerię starożytnych rysunków, pochodzących z okresu 10 tys. lat p.n.e. Rysunki przedstawiają tancerzy, myśliwych dzikie zwierzęta oraz jakby znaki magiczne.

● **Na Węgrzech** jest 2 tys. muzeów. Z dyskusji prasowych wynika jednak, że są one zbyt rzadko odwiedzane przez młodzież, robotników i chłopów, a ponadto wszystkie są urządzone według jednego szablonu.

Muzyka

● **Rok ubiegły** był szczególnie obfity jeżeli chodzi o polskie opery: odbyło się pięć prapremier. Dwie dalsze czekają: „Diabły z Loudun" Pendereckiego oraz „Lord Jim" Romualda Twardowskiego.

● **Warszawska operetka** wystawiła musical „Pan Pickwick" według znanej powieści Karola Dickensa „Klub Pickwicka" — według libretta i muzyki autorów czeskich.

● **W dniach 18—21 stycznia** odbędzie się w Warszawie IX konkurs polskich zespołów jazzowych, ubiegających się o nagrodę Złotej Tarki. Taka nagroda przyznana będzie także instrumentaliście.

● **Przez dwa tygodnie grudnia** w 11 miastach rumuńskich odbywały się Dni Muzyki Polskiej z udziałem naszych solistów, dyrygentów i zespołów. Widownie były przepełnione.

● **Tradycyjnie** na przełomie jednego i drugiego roku w Związku Radzieckim odbywa się wielki festiwal artystyczny pt. Rosyjska Zima. Jest to już jedenasta kolejna impreza tego rodzaju. Główny akcent stanowi prezentacja repertuaru rosyjskich i radzieckich oper i baletów oraz zwiedzanie zabytkowych miast. Przybyło ponad 20 tys. uczestników z 25 państw.

● **Moskiewski Teatr Wielki** zaprezentował zupełnie nową inscenizację opery Piotra Czajkowskiego „Jolanta" w reżyserii O. Moralewa.

Film i TV

● **W tej chwili** 9 polskich filmów czeka na premierę. Pierwszy ukaże się na ekranach „Orzeł i reszka", debiut reżyserski Ryszarda Filipskiego, który również gra główną rolę.

● **Gustaw Holoubek** zadebiutuje jako scenarzysta i reżyser adaptacją dramatu Słowackiego „Mazepa".

● **Telewizja radziecka** pokazała czteroodcinkowy film, poświęcony znakomitemu artyście estradowemu Arkadijowi Rajkinowi, kierownikowi leningradzkiego Teatru Minatur.

● **W Leningradzie** rozpoczęły się zdjęcia do pierwszego wspólnego filmu radziecko-amerykańskiego — „Błękitny ptak" na podstawie bajki M. Maeterlincka. Ze strony amerykańskiej wystąpią m.in. Elizabeth Taylor, Jane Fonda i Shirley Mac Laine.

● **Telewizja brytyjska** rozpoczęła nadawanie długo oczekiwanego serialu filmowego o życiu i działalności Winstona Churchilla. Tygodnik „Observer" napisał w związku z tym m.in.: „Był fatalnym przywódcą — ale o tym jest niebezpiecznie mówić w Anglii — z wyjątkiem okresu wojny, kiedy umiał, jak nikt inny, jednoczyć i zagrzewać do czynu". Churchilla gra Richard Burton.

● **W Londynie** ukazała się książka Charlie Chaplina pt. „Moje życie w fotografiach". Jest to jakby komiks — pod każdym zdjęciem krótki komentarz pióra artysty.

Różne

● **Pod koniec ub. roku** obchodził 50-lecie pracy artystycznej jeden z naszych najwybitniejszych artystów kabaretowych i estradowych — Kazimierz Krukowski, popularny Lopek. Wkrótce zobaczymy go w telewizyjnym programie „Uśmiech Warszawy" — antologii skeczy i piosenek 30-lecia.

● **Na trzech płytach**, w formie albumu, ukazała się sztuka Leona Kruczkowskiego „Pierwszy dzień wolności" — w wykonaniu jednego aktora: Tadeusza Łomnickiego.

● **Jak się okazuje**, kompozytor radziecki Ilja Szatrow, twórca słynnego walca „Na sopkach Mandżurii", przez szereg lat mieszkał w Warszawie i tu ukończył szkołę muzyczną, co umożliwiło mu karierę kapelmistrza wojskowego. Kompozytor zmarł w 1953 r.

● **W bibliotece uniwersyteckiej** w Oslo odnaleziono rękopis francuskiego tekstu powieści Augusta Strindberga „Spowiedź szaleńca".

Lubliniana

● **Jury, któremu przewodniczyła M. Bechczyc-Rudnicka**, przyznało doroczne nagrody literackie im. J. Czechowicza w dziedzinie poezji oraz im. B. Prusa w dziedzinie prozy. Pierwszą z nich otrzymał Waldemar Michalski za tom pt. „Pejzaż rdzawy", drugą Maria Józefacka za powieść pt. „Kto sieje wiatr". Nagrody ufundował Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego. Gratulujemy!

● **Złote Mikrofony**, doroczne nagrody dla szczególnie zasłużonych w rozwoju programów radiowych, otrzymało 18 współpracowników PR oraz zespół audycji rozrywkowych programu III. Wśród laureatów są: Maria Kuncewiczowa (autorka pierwszej w Europie powieści radiowej „Dni powszednie państwa Kowalskich") oraz dziennikarz Rozgłośni Lubelskiej Adam Tomanek. Gratulujemy!

● **W roku bież. Towarzystwo Muzyczne im. Wieniawskiego** zorganizuje przy współpracy władz powiatowych Dni Karola Lipińskiego w Radzyniu Podlaskim.

● **W XI konkursie krasomówczym studentów-prawników UMCS** I miejsce zdobył student IV roku Zbigniew Rużański. Ogólnopolski konkurs odbędzie się w Lublinie w kwietniu.

noty i notki

Zeszłoroczne święta Bożego Narodzenia przeżyłem niemal jak na wulkanie. Miałem choinkę plastykową mimo przestróg straży pożarnej, że są łatwopalne. Na dodatek (oszczędzając środki opatrunkowe) zamiast tradycyjnej waty używałem do ozdobienia choinki „sztucznego śniegu" produkowanego w Łodzi. Na etykietce widniały groźne ostrzeżenia: „Nie natryskiwać przy zapalonych świeczkach. Po natryskiwaniu wywietrzyć pomieszczenie. Przechowywać z daleka od źródeł ciepła. Nie dawać do rąk dzieciom". Ale jakoś nic się nie stało. Czy jednak naszego przemysłu chemicznego nie stać na produkowanie bezpieczniejszych wyrobów?

Ale i różne inne anomalie utrzymują się w naszym życiu. Za napisanie książki średniej wielkości autor otrzymuje honorarium równowartości około tysiąca wyprodukowanych książek plus egzemplarze autorskie. Tymczasem plastyk za zaprojektowanie fotela, który potem jest wyrabiany seryjnie, otrzymuje równowartość zaledwie jednego fotela i ani jednego egzemplarza autorskiego — jak to ujawniono na ogólnopolskiej wystawie architektury wnętrz w Warszawie, zorganizowanej przez ZPAP.

W niedzielę 28 grudnia telewizja nadała ciekawy program pt. „Progi i bariery". Ale jeden fragment wzbudził we mnie niesmak, by nie napisać — oburzenie. Polakowi z Australii, prezentującemu kopalnie opali, pan Załuski powiedział, że sprawa go całkowicie znudziła. Wolno panu Załuskiemu mieć takie odczucie, ale chyba nie wolno okazywać takiego lekceważenia rodakowi, który w sposób widoczny poczuł się obrażony i po powrocie do domu będzie miał powód wybrzydzać nie tylko na pana Załuskiego, ale i na telewizję, że mogła ona przecież ten fragment wyciąć.

Wieloodcinkowy serial dr. Starowicza pt. „Sztuka kochania" przemówił nawet do kalkulacji dyrektorów Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego „Unia" i „Opolanka". W konsekwencji dali półstronicowe ogłoszenie w drukującym ten serial tygodniku studenckim „itd", polecając szczególnie czapeczki, szaliki, sweterki, rękawiczki i inny przyodziewek dla dzieci.

Rzadko czytuję tygodnik telewizyjno-filmowy „Ekran". Z powodu napastliwych często recenzji, pachnących osobistymi porachunkami. Oto próbka recenzji (?) z nr 52 pióra zastępcy redaktora naczelnego A. Ochalskiego z filmu „Nie ma róży bez ognia": „Szósta komedia Barei, czyli szósty występek przeciw temuż, szóstemu przykazaniu: nam by wystarczyło, gdyby autor (...) nie cudzołożył z komedią nadaremnie... Ludzie (...) doznający paraliżu w zetknięciu z gąbczastą zawiesiną scenariusza autorstwa — inkryminowanego do spółki z byłym talentem, Jackiem Fedorowiczem) Bareją (...) jest zaledwie p r y w a c i a r z e m kinematografii polskiej". A oto przykład artykułu (?) wstępnego pióra Andrzeja Lipińskiego pt. „Po co mnie informują?": „Siłą środków przekazu jest osadzenie jednostki w społeczeństwie dynamicznym, stale zmieniającym poziomy swego uwarstwiania, choć niezmiennie organizowanym przez cel. Kładąc nacisk na doniosłość skupienia w orbicie tego celu, realizując jedność przez ukazywanie odrębności jednostek — we wszystkim co się mówi i pokazuje należy dążyć do precyzyjnej projekcji systemu postaw i zachowań, aby stale rósł poziom moralny społeczeństwa". Sądzę że urośnie, gdy autor zmieni na stałe poziom swego uwarstwienia.

JOD

ekran i widz

Bareja nareszcie bawi

POWIADAJĄ, że kiedy ambitny człowiek bardzo się uprze, zawsze w końcu osiągnie upragniony cel. Tak też się stało w wypadku Stanisława Barei, który przez wiele lat, z godnym podziwu uporem starał się nakręcić dobry film komediowy. W ciągu owych lat przyzwyczajono się, że Bareja robi filmy mierne i nawet przestano mieć o to do niego pretensje. Tymczasem na zakończenie 1974 roku Bareja spłatał publiczności figla: na ekranach kin pojawiła się jego (szósta już z kolei) komedia — „Nie ma róży bez ognia", komedia na której nareszcie można się śmiać.

Inna sprawa, że śmiech wybuchający na widowni jest niejednokrotnie śmiechem przez łzy. Czyż może być inny, skoro akcja rozgrywa się w scenerii aż nadto znanej większości widzów, scenerii nowo powstającego wielkiego osiedla mieszkaniowego, we wnętrzach, w których odpadają ze ścian tynki, urywają się klamki, wypadają drzwi z zawiasów, pękają nagle rury wodociągowe zalewając mieszkanie? Niby nic nowego — ani w życiu, ani w polskim filmie — bo temat dość oklepany, niejednokrotnie brany przez reżyserów na warsztat, ale jednak śmiejemy się. Między innymi także ze złośliwej satysfakcji, że podobne jak my problemy mieszkaniowe mają i inni.

Ale w „Nie ma róży bez ognia" reżyser dotyka również problemu dotąd nigdy chyba jeszcze nie poruszanego na ekranie: nabrzmiałej od lat sprawy meldunków w Warszawie. Owych fikcyjnych małżeństw zawieranych (za sutą opłatą) przez obywateli z prowincji z obywatelami stolicy w celu osiągnięcia upragnionego stempelka w dowodzie osobistym i wszelkiego rodzaju innych pomysłowych „chwytów", które dają pole do popisu — a przy tym i niezły zarobek — różnym kombinatorom. Wreszcie film jest złośliwą satyrą na bezduszność i ograniczoność pracowników administracji osiedlowych, choć trzeba obiektywnie przyznać, że w ostatnich latach wcale nie jest w tym względzie tak źle, jak to Bareja sugeruje.

Niezależnie jednak od wszelkich problemów, które mogą nas złościć, śmieszyć czy bawić, Barei należą się przede wszystkim brawa za dobre pomysły reżyserskie, świetne tempo z jakim prowadzi film oraz umiejętne rozłożenie akcentów humorystycznych.

Równe brawa — dla Jacka Fedorowicza, nie tylko jako dla autora błyskotliwie napisanego scenariusza, ale również jako dla odtwórcy głównej roli męskiej. Jest to chyba najlepsza rola filmowa Fedorowicza, tego wszechstronnego zresztą artysty, który równie dobrze sprawdza się jako plastyk (zawód wyuczony), jak i aktor czy literat-satyryk. Filmowy Janek — skromny, młody nauczyciel, który z chwilą otrzymania nowego mieszkania wpada w niesamowite tarapaty życiowe, ma doskonałego partnera w osobie Jerzego Dobrowolskiego, którego talent komediowy znamy i pamiętamy doskonale z telewizyjnego „Expressu". Dobrowolski zasłynął jako świetny odtwórca postaci z pogranicza marginesu społecznego, ujmujących w sposobie bycia cwaniaków i kombinatorów. W „Nie ma róży bez ognia" jego sposób bycia i kapitalne powiedzonka, podpatrzone i podsłuchane na warszawskiej ulicy, wzbudzają na widowni huragany śmiechu. Fedorowiczowi i Dobrowolskiemu godnie partneruje reszta ekipy aktorskiej, m. in.: Mieczysław Czechowicz, Wiesław Gołas, Bohdan Łazuka, Wojciech Siemion, Stanisław Tym, Jan Kobuszewski, Halina Kowalska i Stanisława Celińska.

W sumie: „Nie ma róży bez ognia" jest komedią inteligentną, ciętą i błyskotliwą, a że występuje w niej prawie cała czołówka polskich aktorów komediowych, tym bardziej godną obejrzenia.

(md)

Szyfrogram literacki (nr 1)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce haseł odpowiadające im litery i odczytać fragment wiersza polskiego renesansowego poety, którego imię i nazwisko dadzą pierwsze litery początkowych 14 wyrazów pomocniczych. Pojedyńcze czarne kratki oznaczają koniec słowa, a podwójne — wiersza.

Wyrazy pomocnicze

1. 131. 16. 13. 124 — imię twórcy Bołdyna,
15. 4. 34. 116. 10. 97. 143 — symbol, rzecz komuś niezdrowna,
32. 43. 17. 22. 67. 40. 63. — miasto powiatowe w woj. olsztyńskim, słynne z zamku gotyckiego,
5. 73. 53. 86. 69 — część tułowia od bioder do ramion,
7. 21. 56. 65. 72 — trudno dostępne miejsce w puszczy,
8. 29. 52. 45. 27. — od brwi do włosów,
41. 139. 128. 141. 82 — coś do śmiechu,
44. 122. 31. 18. 11. 70 — szesnaście wierszków,
49. 99. 25. 20. 23. 88. 71. 62. 77 — niebezpieczna, porzucona amunicja,
9. 115. 54. 87. 42. 35 — bednarskie koło,
22. 39. 112. 60. 66 — wybity otwór,
3. 38. 57. 96. 121. 78. 98. 61 — afrykańska małpa człekokształtna,
59. 48. 91. 2. 84 — w dawnej Polsce chłop posiadający własne gospodarstwo,
19. 101. [illegible]. 125. 75. 132. 81 — zamiar, zamysł,
145. 50. 105. 46. 129. 102. 100. 83 — ręczna centrala telefoniczna,
14. 55. 79. 100. 28. 76 — gestwina,
104. 110. 120. 108 — mąż córki,
64. 33. 85. 36. 58. 47 — na nowo odczytał je Hanuszkiewicz,
51. 106. 120. 65. 95. 136 — drewniane naczynie do mieszania ciasta,
26. 133. 119. 74. 127. 92 — historia,
113. 89. 134. 118. 144. 135. 111 — stara kanapa,
24. 146. 114. 142. 138 — przemówienie przy kieliszku,
93. 117. 107. 37 — masowe zgromadzenie,
133. 136. 93 — odzywka przy złej karcie,
137. 140. 89. 103. 94 — bita droga.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poc. 131 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr. 25 był fragment wiersza Adama Asnyka „Nad przepaścią":

„Z przepaści ciemne widmo wstało...
I na urwisku stromym
Wędrowca w drodze zatrzymało
Bezkształtnym swym ogromem".

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu literackiego nr. 25 cztery bony książkowe po 40 zł. każdy wylosowali:

1	2	3	4		5	6	7		8	9		10	11	
12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23		24	25
	26	27	28	29	30	31	32	33		34	35	36	37	38
39			40	41	42	43	44	45		46	47		48	49
50		51	52	53	54	55		56	57	58	59	60		61
62	63	64	65		66	67	68	69		70	71		72	73
74	75	76	77			78		79	80	81	82	83	84	
85	86	87		88	89	90	91	92	93	94	95		96	97
98	99		100	101	102	103	104	105	106	107	108		109	110
111	112	113			114	115	116		117	118	119	120		121
122	123	124	125	126	127	128	129	130	131	132		133	134	
135	136	137		138	139		140	141	142	143	144	145	146	

Bernard Serwatka 20-269 Lublin ul. Melgiewska 7/9; Zygmunt Guzowski 20-454 Lublin, ul. Traugutta 38; Anna Szymańska 85-324 Bydgoszcz, ul. 8-go Bydg. Pułku Piechoty 20/10, Danuta Burtka 58-500 Jelenia Góra ul. Świerczewskiego 55.

listy do kameny

HIGIENICZNE MUZEUM

Oglądałem niedawno byłą pracownię Zenona Kononowicza, która obecnie pełni rolę muzeum tego artysty. Gdyby nie obrazy, nie czułbym, że jestem „u Zenona", którego zresztą znałem niegdyś. Miejsce, w którym tworzył malarz, to była wspaniała rupieciarnia, magazyn intrygujących rozmaitości, coś w rodzaju autorskiej ikonosfery, narastającej latami — zgodnie z rytmem życia „Bosego". To pomieszczenie, jego zawartość informowała wyczerpująco o osobowości artysty, jak wiadomo, bardzo ciekawej i złożonej. Tymczasem obecnie jest to „pokój higieniczny", który mógłby służyć za wzór „części socjalno-śniadaniowej" jakiegoś zakładu pracy. Na czystych ścianach wiszą obrazy Kononowicza, ale to za mało, aby przywołać ducha pracowni, żeby uzmysłowić zwiedzającym naturę człowieka, który tam żył i malował. Dlaczego wyrzucono stare krzesła, mały taboret, wytarty tapczan, palety, modele martwych natur, książki Zenona? Dlaczego nie pomyślano o tym, aby na ścianach powiesić duże fotografie artysty i zdjęcia pracowni z okresu przed ostatecznym opuszczeniem jej przez właściciela? O ile wiem, istnieje obszerna i wartościowa artystycznie i informacyjnie dokumentacja fotograficzna życia i twórczości Kononowicza. Przecież można ją wykorzystać do proponowanego celu. Nie ulega wątpliwości, że zdjęcia wzbogaciłyby ludzką treść pracowni. Sprawa nie jest jeszcze przegrana. Więc może — do dzieła?!

Juliusz Witkowski
Warszawa

BETON NA BETONIE

Mieszkam we wschodniej części Lublina, w osiedlu spółdzielni „Motor" na Kalinowszczyźnie. Z każdym rokiem przybywa tu domów i ludzi, rośnie nawet liczba sklepów i innych placówek usługowych. Można powiedzieć, że idziemy do przodu. Ale brak nam tu czegoś, co w sferze potrzeb mieszkańców miast współczesnych zaczyna zajmować jedno z czołowych miejsc. Brak nam parku! Zieleń osiedlowa, licha jeszcze i bezwzględnie dewastowana przez młodocianych, nie zastąpi takiej przestrzeni przyrodniczej, jaką jest park. Wiemy o tym, że organizowany właśnie skansen przy ul. Kalinowszczyzna będzie pełnił także rolę otwartego dla wszystkich parku. Wstęp na jego teren ma być bezpłatny, tylko zwiedzanie poszczególnych obiektów będzie co nieco kosztowało. Wiem dobrze — rozmawia się przecież z ludźmi — że wszyscy mieszkańcy pobliskich osiedli z radością przyjęli lokalizację parku — muzeum właśnie w tej części miasta. Tymczasem docierają do nas ostatnio wieści, że ta lokalizacja nie jest jeszcze taka pewna. Jaka jest prawda? Czy rzeczywiście dalej mamy oddychać betonem? Czy faktycznie mamy utracić tak wspaniały obiekt, jakim niewątpliwie byłby skansen wsi lubelskiej?

Władysław Ciszewski
Lublin

Od redakcji: O ile nam wiadomo, kwestia zmiany lokalizacji Muzeum Wsi Lubelskiej nie wchodzi w rachubę.

„HANDLOWE MYDLENIE OCZU"

Po opublikowaniu w 23 numerze „Kameny" z 1974 r. artykułu pt. „Handlowe mydlenie oczu", zawierającego krytykę działalności zakładów gastronomicznych czterech Powiatowych Związków Gminnych Spółdzielni „SCh", informujemy po zbadaniu sprawy, że decyzje o czasowym zamknięciu zakładów przez Stacje Sanitarno-Epidemiologiczne spowodowane są różnymi przyczynami. Najczęściej spotykany powód to zła jakość wody bieżącej. Po uzdatnieniu wody zgodnie z instrukcją Stacji przedstawiciele jej ponownie badają wodę i od wyniku badania uzależnia się wznowienie działalności zakładu. Pojawienie się zanieczyszczeń czy bakterii w wodzie jest niezależne od kierownictwa zakładów i niemożliwe do wykrycia na co dzień, bez badania laboratoryjnego. Drugim, równie częstym, powodem zamykania zakładów jest ich trudna sytuacja lokalowa. Z roku na rok wzrastają plany obrotów zakładów wzrastają również wymogi odnośnie parametrów zaplecza produkcyjnego (...). Około 50 proc. stanu naszej sieci mieści się w lokalach dzierżawionych od osób prywatnych i bez ich zgody nie można przeprowadzić żadnej przebudowy czy rozbudowy. Za przykład omawianej sytuacji niech posłuży m. in. Janów Lubelski, gdzie jeden zakład gastronomiczny zlokalizowany w samym mieście jest od początku 1974 roku zamknięty decyzją Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. Przeprowadzenie jakiejkolwiek modernizacji stosownie do zaleceń Stacji San. Epid. nie jest możliwe, ponieważ właściciel lokalu nie wyraził na to zgody. Tymczasem zadania planowe zostały ustalone dużo wcześniej i obejmowały również restaurację, która w praktyce nie istnieje przez cały rok. (...).

Rok miniony był dla gastronomii wiejskiej wyjątkowo trudny na odcinku wykonania zadań planowych. Występujące przez cały czas trwania sezonu letniego opady atmosferyczne sparaliżowały niemal całkowicie ruch turystyczny, co znalazło odbicie w spadku obrotów. Nieodpowiednie warunki atmosferyczne spowodowały również przedłużenie okresu żniw i zahamowały prace związane z wykopkami ziemniaków i buraków. Z tych powodów nastąpił spadek frekwencji konsumentów wiejskich, stanowiących zdecydowaną większość bywalców wiejskiej gastronomii. (...).

Wiceprezes Zarządu WZGS
d/s Handlu i Gastronomii
mgr J. Niedziela

• • •

Uprzejmie informujemy, że przyznajemy słuszność poglądom autora publikacji „Handlowe mydlenie oczu", wyrażonym na temat występujących jeszcze niedociągnięć w pracy niektórych naszych oddziałów. (...).

Przytoczone w artykule przykłady braku handlowej i organizacyjnej operatywności wśród części kierownictwa oddziałów zostały szczegółowo zbadane, a przyjęte w wyniku tej analizy wnioski wprowadzono natychmiast w życie w celu niedopuszczenia w przyszłości do wystąpienia podobnych sytuacji. Niezależnie od tego wszystkie uwagi o niedostatecznym poziomie pracy placówek handlowych były przedmiotem narady dyrektorów handlowych oddziałów i są wykorzystywane w bieżącej pracy zmierzającej do osiągnięcia trwałej poprawy w zaopatrzeniu rynku.

Ustosunkowując się do przyczyn uzasadniających niewykonanie zadań planowych we wrześciu 1974 r., podanych przez Oddziały w Kraśniku, Lubartowie, Tomaszowie i Włodawie (zamknięcie placówek przez „Sanepid", remonty, inwentaryzacje itp.), wyjaśniamy, że są one fragmentaryczne, nie pozostające w odpowiedniej proporcji do niedoboru obrotów i podane zostały przez przedstawicieli tych oddziałów bez głębszej analizy.

Wszystkie te przypadki braliśmy m. in. pod uwagę przy przyznawaniu kierownictwu wymienionych jednostek premii i nagród za III-ci kwartał, a pracownikom administracji, którzy bezkrytycznie przyjmowali i przekazywali organom statystycznym nie sprawdzone informacje, zwrócono w ostrej formie uwagę. Jednocześnie pragniemy jednak podkreślić, że nie bez wpływu na istniejącą w tym zakresie sytuację pozostają także obowiązujące (bardzo napięte) terminy składania meldunków telefonicznych, które są podstawą opracowywania informacji przez W.U.S. (...).

Nie negując poważnego wpływu czynników wymienionych w artykule na stopień realizacji zadań, jednocześnie nadmieniamy, że obok nich istotną rolę odegrały zjawiska, których nie można było uwzględnić w procesie ustalania na III-ci kwartał 1974 r. rozmiarów planu, a mianowicie:

— Wybitnie niekorzystne na przestrzeni III-go kwartału warunki atmosferyczne, a szczególnie ciągłe opady deszczu, które spowodowały przesuwanie się terminów prac polowych, co odbiło się ujemnie na globalnej wielkości zakupu towarów rynkowych przez ludność wiejską, której udział w obrotach handlu miejskiego wynosi około 30—40 proc. Szczególnie nietypowy pod tym względem przebieg miały obroty we wrześniu (...)

— Przy ustalaniu w czerwcu 1974 r. wielkości planów sprzedaży detalu i gastronomii na III-ci kwartał oparliśmy się na prognozie przychodów i wydatków ludności, na podstawie której założyliśmy wzrost obrotów 115 proc. do wykonania III-go kwartału roku 1973 r., a więc w tempie zbliżonym do przewidywanego przyrostu dochodów ludności, zakładanych na ten okres w 113,3 proc. Jednak w wyniku różnych przyczyn planowane przychody ludności ukształtowały się niżej, niż zakładano. (...).

Ustosunkowując się do uwag na temat przyczyn niewykonania we wrześniu planu produkcji przez Oddział Łuków wyjaśniamy, że niezrealizowana produkcja faktycznie obejmuje również niedobór produkcji piekarskiej, gdyż niedobór w produkcji ciastek wynosi ca 60 tys. zł. Niewykonanie planu produkcji piekarskiej wynikało z powodu zmniejszonego napływu okolicznej ludności wiejskiej, zaopatrującej się w pieczywo, oraz z niepodjęcia przez Oddział w odpowiednim czasie starań zaoferowania pieczywa odbiorcom z roza terenu Łukowa. W produkcji ciastkarskiej nie było przyczyną niewykonania planu zamknięcie ciastkarni na polecenie „Sanepidu", jak to podał Oddział, lecz kilkudniowy remont pieca na skutek awarii paleniska oraz wstrzymanie przez „Sanepid" w okresie od 6 do 25 września produkcji ciastek kremowych, w związku z wystąpieniem zarzutu epidemicznego, na którego powstanie zresztą nasza ciastkarnia nie miała żadnego wpływu.

Podając powyższe wyjaśnienie — pragniemy podkreślić, że również uwagi i spostrzeżenia zawarte w artykule, a dotyczące poziomu zaopatrzenia ludności i pracy handlu w ogóle, niezależnie od jego przynależności organizacyjnej, w pełni w naszej pracy wykorzystamy. (...).

Wojewódzkie Spółdzielnie Spożywców „Społem" w Lublinie

PRASA W KLUBIE MPiK

W związku z notatką JOD w „Kamenie" z 1 grudnia, dotyczącą opóźnionej sprzedaży prasy w Klubie MPiK z powodu remanentu, chciałabym raz jeszcze zawołać SOS dla jedynej tego rodzaju placówki w Lublinie i województwie. Szczupłość pomieszczeń Klubu MPiK jest powszechnie znana, pisała o tym prasa nie wyłączając „Kameny", problem powtarza się w korespondencjach do władz miasta. Brak miejsca nie tylko hamuje szerszą działalność jeżeli chodzi o imprezy, ale także działalność handlową księgarni.

W obecnych warunkach nie ma możliwości rozdzielenia działu czasopism od działu książek, wobec czego z konieczności wszyscy pracownicy księgarni jako odpowiedzialni materialnie muszą uczestniczyć w całości remanentu. Z tym wiąże się czas remanentu przeprowadzanego w niezwykłej ciasnocie, zwłaszcza w magazynie, co jest naszym stałym zmartwieniem.

Nie więc z braku naszej dobrej woli istnieje szereg niedogodności, nękających również naszych bywalców. Szukamy rozwiązań i być może znajdziemy je, ale trzeba również, by spojrzenia na borykający się z trudnościami Klub były trochę życzliwsze i dały w konsekwencji rezultaty. Trzeba, by przyjaciele zaczynający z nami nawet krytyczną dyskusję rozmawiali z nami osobiście, tym bardziej że p. red. JOD jest naszym codziennym gościem, było by to bardziej konstruktywne aniżeli polemika na łamach prasy.

Chciałabym ponadto zapewnić, że „makulatura" jest sprzedawana tylko wówczas, gdy życzy sobie tego klient, a w znakomitej większości stali odbiorcy wręcz proszą o zaległą prasę. Chciałabym również, by kryteria i oceny stosowane wobec nas obowiązywały również klientów — bo czy prasa nie odbierana przez miesiąc lub dwa nie jest także „makulaturą"? Wiadomo, klient nasz pan, ale z drugiej strony sprzedawca też człowiek.

Kierownik Klubu MPiK
J. Jarzynowa

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji) Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny) Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł. półrocznie 39 zł. kwartalnie 19.50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23 00-340 Warszawa konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN. Unicka 4. Zam. 2891 23.XII.73. E-4

Numer łamali: Mieczysław Psujek i Wiktor Muda, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Adres redakcji 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35 Nr indeksu 30606/36201

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

MODA na turystyczny import atrakcyjnych artykułów zagranicznych, zwany w urzędowej nomenklaturze przemytem, jest bardzo krótkotrwała i zmienia się z sezonu na sezon. Zasługa w tym naszych rodzimych producentów, którzy coraz śmielej wychodzą naprzeciw zapotrzebowaniu społecznemu i wypełniają luki w zaopatrzeniu rynku wewnętrznego.

A jednak pomimo wzrastającej operatywności krajowych producentów turystyczny import pism pornograficznych, zwanych pieszczotliwie świerszczykami, trwa niezmiennie od wielu lat. Wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazują na to, że trwać on będzie nadal, gdyż na krajowych producentów raczej nie ma co liczyć. I również nie ma co liczyć na sklepy Pekao, choćby człowiek chciał płacić najbardziej nawet wolnymi dewizami.

Swierszczyki przywożą chętnie nie tylko panowie, ale także i panie w charakterze upominków dla swoich mężów. Nie ma w tym nic dziwnego, bo świerszczyk kosztuje taniej niż koszulka polo czy sweterek, a uciechy z niego więcej. Na dobrą sprawę nikt się przecież dzisiaj nie będzie przechwalał posiadaniem zagranicznego ciuszka, a świerszczyki obejrzą chętnie zarówno koledzy w biurze, szef, jak i imieninowi goście. Poza tym, dzięki posiadaniu odpowiednio dużej kolekcji świerszczyków zyskuje się odpowiednio wysokie notowanie na towarzyskiej giełdzie. Trzeba obiektywnie przyznać, że w tej konkurencji nasi lu-

ŚWIERSZCZYKI

belscy kolekcjonerzy osiągają zdecydowanie wysokie lokaty. Zwłaszcza w ostatnim czasie stan posiadania świerszczyków wyraźnie nam się powiększył, głównie dzięki sportowcom, artystom z zespołów pieśni i tańca, a także i pracownikom nauki, którzy w ostatnie wakacje licznie wyjeżdżali na zagraniczne wojaże. Przypuszcza się, że gdyby tak zgromadzić w jednym miejscu wszystkie znajdujące się w obiegu pozycje, to przewyższyłyby one znacznie księgozbiór biblioteki Łopacińskiego i UMCS razem wziętych.

Przypuszczam, że w tym miejscu koneserzy złożyliby protest, bo przecież świerszczyki to nie kartofle, które można brać na wagę jak leci. I nawet całkiem zielony, początkujący członek na pół tajnego stowarzyszenia kompletowania seksualnych krzyżówek wie, że świerszczyk świerszczykowi nie równy. Urzędy, zarówno świeckie jak i duchowne, są im zdecydowanie nieprzychylne.

Pewien docent, zajadły wróg świerszczyków krążących wśród studentów, przywiózł ich z zagranicy całą walizkę. Dla wspólnego rozpoznania wroga zaprosił zaprzyjaźnionego profesora wraz z małżonką. Po kolacji przyrządzonej własnoręcznie przez docenta, przystąpiono do rozpoznania nieprzyjaciela. Pani profesorowa z namaszczeniem nałożyła okulary.

— Nic z tego nie rozumiem — powiedziała w pewnej chwili

— Zapomnieli o objaśnieniach — skarżył się profesor.

— A to wszystko takie jakieś poplątane — zgodziła się profesorowa, dla której świerszczykowe propozycje stanowiły czas zaprzeszły.

— To może zmienimy okulary — zaproponował profesor.

Ale i zmiana szkieł niewiele pomogła.

— Kolego docencie, zupełnie nie możemy się w tym połapać — profesor bezradnie rozłożył ręce.

— Nic dziwnego — wyjaśnił docent — przecież państwo trzymacie pismo do góry nogami.

— Rzeczywiście — powiedział profesor — nawet tego nie zauważyliśmy. Ale teraz wydaje się to już mniej straszne.

— Zupełnie jak w życiu — dopowiedziała profesorowa — gdy coś postawi się na głowie. A wystarczy tylko problem odwrócić i natychmiast nabiera właściwych wymiarów.

Pawełek

falsetem

Bistro

PISAŁ L. Gnot w świątecznym numerze „Kuriera Lubelskiego": „Pozwólcie więc, Drodzy Czytelnicy, iż dziś spod choinki wznosząc wasze zdrowie maleńkim kieliszkiem koniaku, prześlę wam życzenia nie tylko zdrowia, szczęścia i pomyślności, ale również i tego, abyście zawsze i wszędzie napotykali życzliwość, wyrozumienie, no i oczywiście odpłacali się wszystkim tą samą monetą". Byłbym życzliwy i wyrozumiały, ale... Przyzwyczaiłem się do tego, że osoba wznosząca toast — stoi. Nie sądzę, aby spod choinki (nawet spod choinki na Placu Litewskim) można w ten sposób wznosić toast. Bardziej odpowiednia pozycja to pozycja leżąca. A poza tym kto pije koniak w maleńkim kieliszku? Koniakówek zabrakło w Lublinie? Jeśli tak piszmy o tym wprost i krytykujmy kogo trzeba. W tym wypadku handel...

A ja zajmę się gastronomią. Właśnie niedawno odwiedziłem nową lubelską restaurację, a ściślej mówiąc bistro — „Maleńki". Jest to dawna knajpa „Nad Bystrzycą", która przechodziła różne metamorfozy. Najpierw bez ograniczeń sprzedawano tu wódkę, potem wódkę wycofano i przekształcono lokal w piwiarnię. Wszystko pozostało przy tym po staremu. Mam na myśli tzw. wystrój wnętrza. Ponieważ jednak poza piwem nie było tu żadnego innego alkoholu, bywalcy urządzali się bardzo sprytnie: wyskakiwali do mieszczących się po sąsiedzku „Delikatesów", kupowali po buteleczynie, później mieszali wódkę z piwem i na efekty długo nie trzeba było czekać. Sympatyczne panie kelnerki, mimo pokaźnych tuszy, z trudem radziły sobie z pijakami. Ale oficjalnie wódki tu nie sprzedawano, wszystko więc można było od biedy zwalić na słabe głowy konsumentów.

Ostatnio Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Przemysłu Gastronomicznego — Północ przeprowadziło remont lokalu. Z tej okazji przeniesiono bufet w inne miejsce i nieco ustrojono ściany. Na pewno jest czyściej. Ale przecież pozostał ten sam ustronny kącik, do którego wchodziło się i wchodzi bezpośrednio z „sali" konsumpcyjnej. W „kąciku" się nie siada. Ponieważ nie ma babki klozetowej, można sobie wyobrazić, jakie panują tu warunki sanitarne. I w tym wszystkim dziwi jedno: dyrekcja WPPG — Północ miała odwagę nazwać dawną restaurację „Nad Bystrzycą" bistrem, a w dodatku nadać lokalowi drugą kategorię. Skutek jest taki, że zwykłe pyzy kosztują 19,50 zł. Usunięto również piwo, wprowadzając na jego miejsce koniaki i likiery. Nie będę kruszyć kopii z tego powodu, ale uważam, że dla tego rodzaju trunków znacznie odpowiedniejszym miejscem jest „Victoria".

Nie rozumiem jednak dyrekcji WPPG—Północ (Dyrektor WPPG—Północ twierdzi, że uzgodnionej z Wydziałem Handlu Miejskiego — sic!). Jak się należało spodziewać, „Maleńki" świeci teraz pustkami, obrót (ceny!) jest minimalny, a więc i zysk dla przedsiębiorstwa, pomimo wyższych marż, znacznie mniejszy. A wybór potraw po zmianie kategorii jest bodaj gorszy niż uprzednio. Kto więc zyskał? Dyrekcja? Konsument?

A w ogóle z naszą lubelską gastronomią dzieją się ostatnio cuda. Przypadkowo wpadłem kiedyś do baru szybkiej obsługi na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ul. Kołłątaja. O godzinie piętnastej były tylko trzy drugie dania i jedna zupa. W tej sytuacji nic dziwnego, że Józef Kisielewicz wychwala w „Sztandarze Ludu" pod niebiosy restaurację w Piaskach. Podejrzewam, że dyrektorzy WPPG też tam chętnie jeżdżą na flaki i inne znakomite potrawy. Wcale nie gorsze (ale tańsze!) niż w renomowanej „Europie". A mamy przecież w Lublinie szkołę gastronomiczną. Ciekawa byłaby analiza dotycząca dalszych losów absolwentów. Niewielu spośród nich znajduje pracę w swoim zawodzie. Restauracja w Piaskach zatrudnia jednak wspaniałego mistrza kuchni. My w Lublinie gotowi jesteśmy oferować mieszkania piłkarzom i koszykarzom. Nie mam nic przeciwko temu, ale zawsze bliższy mi (cóż, starzeje się człowiek) żołądek. Obok przeciętnych sportowców przydaliby się nam wybitni kucharze i wybitni (choć trochę!) specе od gastronomii w samej dyrekcji.

Rzecz w tym, że mamy w Lublinie (bądźmy sprawiedliwi!) kilka dobrych lokali I i II kategorii. Można je policzyć na palcach jednej ręki. A poza tym jest dno, łącznie z parodią karczmy słupskiej („Fafik"). „Powszechna" i „Maleńki" to ta sama kategoria, ale gdzie „Maleńkiemu" do „Powszechnej".

„Maleńki" to niby bistro. Słownik wyrazów obcych PWN mówi: „bistro (fr.) — rodzaj baru z napojami gorącymi, chłodzącymi i alkoholowymi oraz z zakąskami, wzorowany na francuskich małych restauracjach". Nie wiem, czy dyrektorzy WPPG — —Północ byli we Francji i widzieli tamtejsze bistra. Z Paryża wróciła właśnie Maria Bechczyc-Rudnicka. Była przez miesiąc, ma wiele doświadczeń zapewne i z tej dziedziny. Czym jest prawdziwe bistro — chętnie wytłumaczy. Ale czy właśnie Ona powinna tłumaczyć bądź co bądź (?) fachowcom?

MAJ

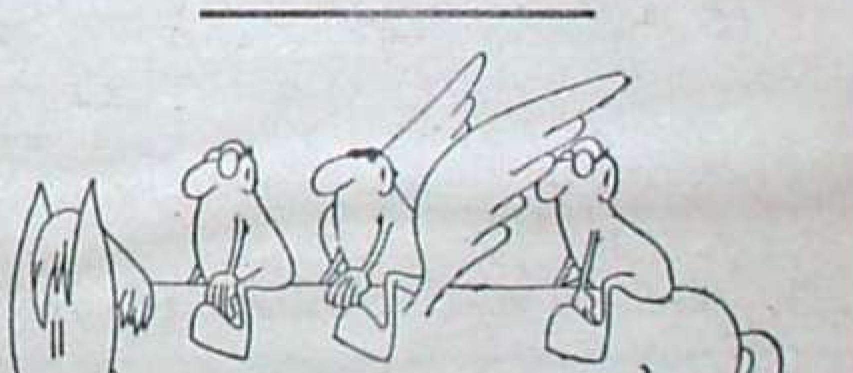

Rys. W. Fuglewicz.

minuta myślenia

Ten wybitny

JEST tak żywy, tak czynny, a przede wszystkim tak reprezentatywny że ktoś, kto by zamierzył album naszych charakterystycznych postaci, ma model na jedną z pierwszych stron. Nawet się dziwię, że żaden z rysowników o to się nie pokusił. Tylko przyłożyć ołówek — rysunek narysuje się sam.

O kim mowa?

Popatrzmy.

Owże X ma przyjść na zebranie. Na sali znajduje się kilkadziesiąt osób, wszyscy czekają sakramentalne 15 minut, bez których nie ma przepisowej straty czasu. Co robi X? Czy jest już usadowiony gdzieś w kącie, gdzieś za filarem, skoro go nie widać? Skądże! Nasz X odczekał akurat dobrze wyliczony moment i oto teraz, gdy audytorium się jako tako uformowało, wkracza. X przecież musi mieć to, co się nazywa entree. I ma. Płynie ponad głowami siedzących ku miejscu zawczasu zarezerwowanemu teczką gdzieś w okolicy—prezydium. Usiadłszy, zaczyna się rozglądać po sali. No, nie lustruje zanadto starannie. Ot, dla zabicia czasu. Raptem podrywa się i zmierza do szatni. Dlaczego? Bo przyszedł po nim ktoś inny i też ma entree. Późniejsze, więc przelicytował. Właśnie ta zapomniana chusteczka w palcie jest doskonałą sposobnością do przebicia karty zuchwalca i X tego nie może zaniedbać. Jeszcze przed początkiem zebrania będzie psykał pod adresem koleżanki siedzącej w przeciwległym kącie sali i zajętej rozmową. Wszyscy znajdujący się na trasie prędzej czy później będą musieli znaleźć się w roli stacji przekaźnikowych. Wtedy X prześle swój ukłon. Cała przekątna sali stanie się „gorącą linią" dla ukłonu X-a.

X mnie zna. Nawet się sobie kłaniamy. Scena taka zazwyczaj wygląda następująco:

1) Przez pierwszych parę sekund X choćby chciał, nie jest w stanie przebyć drogi z górnych rejonów swego aktualnego zainteresowania intelektualnego do nizin banalnych okoliczności codziennych — taka to odległość. Na twarzy trochę zdezorientowania naturalnego przecież dla umysłów nawet najbystrzejszych, jeśli są zajęte czymś frapującym. Na zewnątrz żadnej reakcji.

2) Przez następnych parę sekund jaźń X-a za pośrednictwem ekranu twarzy sugeruje, że odbywa się w nim intensywna praca pamięci. Mam się domyślić następującego procesu: „Hm, jakaś to hetka-pętelka, ktoś zupełnie nieważny, ale coś mi się zdaje, że jakieś przypadkowe okoliczności życiowe postawiły go na mojej drodze. Możliwe, że nawet doszło — ech, życie, stary figlarzu — do wzajemnej prezentacji. W takim razie jestem skazany na powitanie".

3) Wreszcie ze strony X-a pada „cześć, stary!" Nie jest to jednak serdeczność. Jest to coś w rodzaju „Jak się masz, chłopcze" od razu ustanawiające dystans i charakter tych kilku zdawkowości. Żeby, broń Boże, nie doszło do pomyłek. Żebym odczuł dobry humor X-a, który w tym momencie wybacza mi moją małość i łaskawie się nad nią pochyla. Tak też to mają przyjąć przygodni świadkowie.

Natura jest niesprawiedliwa. Jednemu same wątpliwości, drugiemu całą pewność. Pewność w stosunku do własnej osoby. X mógłby wejść na salę obrad fizyków, futurologów, badaczy kosmosu — obrad prowadzonych w języku tureckim — z [illegible]lami w miną, jakby dopiero z tym wej[illegible] obrady miały nabrać cech nau[illegible]wych. Cóż bo oni tam ględzą! Przecież, dopiero X zauważył obniżenie się estetyki opakowań proszku do prania, czemu dał wyraz w publicystycznym artykule zawierającym zalążek przyszłej rozprawy socjologicznej. Już go ma na ukończeniu, więc się tajemniczo uśmiecha na myśl o rychłej rewelacji, która jeszcze nie owładnęła umysłów.

Uśmiecha się. Do własnych myśli. Pardon: do Myśli A jest w nich zagłębiony, że nawet nie ośmielę się mu przeszkodzić nachalnym ukłonem przy najbliższym spotkaniu. Bo możemy zostać pozbawieni cennego projektu na temat ulepszonych metod dystrybucji brązowych sznurowadeł.

Ijon

Bogusław Wieczorek

Aforyzmy

Nie każdy skoczek się wybija.

•

Wygrał sporo pieniędzy w pokera. Dziś mieszka w domku z kart.

•

Nie tylko ślepi czują pismo nosem.

•

Bił czołem: kij mu się gdzieś zawieruszył.